

CZYTELNIA

małomiasteczko

PL ISSN 0465-7867 Nr indeksu 36 650

ZIELONA GÓRA 23 II 1986 — 8 III 1986 R.
ROK XXX NR 4 [609] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

TRUDNA DROGA

Jan Golec

OD SAMEGO POCZĄTKU POWSTA
NIA RUCHU ROBOTNICZEGO MAR-
KSIŚCI DĄŻYLI DO TEGO, ABY
ZJEDNOCZYĆ KLASĘ ROBOTNICZĄ
W RAMACH JEDNEJ PARTII. Począ-
tkowa jedność klasy robotniczej, jaka
istniała niemal we wszystkich krajach
Europy, uległa rozbić na partie komu-
nistyczne i socjaldemokratyczne, a
wewnątrz tych ostatnich zarysowała się
różnica między reformistyczną prawicą
i rewolucyjną lewicą. Doświadczenie
okresu po II wojnie światowej wyka-
zało, że ruch robotniczy odnosił tam
zwykłe sukcesy, gdzie był zjednoczony w
jedynolitej formie, a ponosił porażki
tam, gdzie to zjednoczenie nie nastą-
piło lub było traktowane tylko jako
krok koniunkturalny.

W Polsce Ludowej kwestia
praktycznej realizacji zasady jed-
nostki frontu napotykała na
szereg trudności. Tarcia, czę-
sto spory o drobiazgi, tendencje sekcia-
rskie, utrudniały współpracę. Najwięk-
szą przeszkodę stanowiły kwestie natu-
ry ideologicznej i politycznej.

Partie demokratyczne, w szczególności
PPR i PPS, od pierwszej chwili za-
pewniły sobie dominującą pozycję w
życiu politycznym ziem zachodnich i
północnych. Działalność partyj-
nych w osadnictwie, bezpośrednia po-
moc okazywana przesiedleńcom i
repatriantom, sprzyjały szerzeniu
się wpływów tych partii wśród
osiedlającej się tam ludności.
Wkład partii robotniczych w budowę
aparatu władzy spowodował, że pod
względem składu osobowego adminis-
tracja na Ziemiach Odzyskanych miała bar-
dziej ludowy, demokratyczny charakter
niż w wielu innych regionach kraju. Stoi-
enie uprzywilejowania administracji państwo-
wej był tu znaczny, większość kierow-
niczych stanowisk była obsadzona przez
członków PPR, PPS, SL i SD.

Nie oznacza to jednak, że na tych
ziemiach nie istniała prawica polityczna
w postaci legalnej opozycji spod znaku
PSL i SP oraz nielegalnej PPS-WRN
i WIN, PPS, skupiająca w 1945 r. 150
tys. członków, w tym około 15 proc.
przedwojennych peesowców, także nie
była jednolita. Wykazał to XXVI Kon-
gres obradujący w dniach od 29 czerw-

ca do 1 lipca 1945 r., a zwłaszcza popo-
przedzająca go dyskusja. Różnice zdań
koncentrowały się nadal wokół stosun-
ku do przyszłości ruchu socjalistycznego
a zwłaszcza miejsca PPS w Polsce, jej
równorzędności i partnerstwa wobec
PPR. Aktyw peesowski w terenie skar-
żył się na „wrogą robotę” PPS, na oka-
zywaną mu przez jej działaczy niechęć.
Fakty przenikania do PPS elementów
winowskich, masowe przechodzenie pe-
esowców do PPS, usuwanie peesow-
ców ze stanowisk pod pretekstem rzeko-
mego braku „kompetencji”, próby wbicia
klimu między PPR a pozostałe partie
bloku demokratycznego — stanowiły is-
totny element toczącej się walki poli-
tycznej na ziemiach nadodrzańskich i
nadbaltyckich. Sekretariat KW PPR w
Olsztynie zarzucał przewodniczącemu
WK PPS i wicewojewodzie, uchylanie
się od współpracy z PPR oraz wywie-
ranie nacisku na wojewodę olsztyński-
go, aby „mniej się słuchał tych z PPR,
a więcej z PPS”. Z drugiej strony zaś
PPR krytycznie oceniała sytuację we
własnych szeregach: „Nasi sekretarze
powiatowi dążą do monopolu na wła-
dę, chcieliby robić wszystko, a nie są
w stanie tego wykonać”. Zdawano so-
bie sprawę, że poziom ideowy wielu
członków partii był raczej niski. Niektó-
rzy towarzysze pełniący funkcje sekre-
tariatu po prostu nie nadawali się na
te stanowiska. Do szeregów PPR podob-
nie jak i do innych partii dostały się
elementy karierowiczowskie, osoby nad-
używające swej władzy, a także ludzie
nieuczciwi. W toku kampanii oczyszcza-
nia szeregów partyjnych ludzie tacy by-
li eliminowani. Uważano, że w partii
nie może być miejsca dla ludzi nieucz-
ciwych, którzy traktują partijną legity-
mację jako drogę do kariery. Nie mo-
że być miejsca dla tych, co pracują źle,
dla ludzi zdemoralizowanych, dla pija-
ków. Zdarzały się też wypadki, że pod
pretekstem oczyszczenia partii z „wro-
gów klasowych”, usuwano nie tylko lu-
dzi obcych ideowo partii, lecz także o-
soby mające zasługi w walce z okupa-
nem hitlerowskim. W pow. bystrzyckim
woj. wrocławskie usiłowania wywalić z

Ciąg dalszy na str. 4

„WYTRWAC” (olej) — jedno z dzieł JOZEFY BURLEVICZA eksponowane ostatnio w Zachęcie na wystawie zorganizowanej z okazji war-
szawskiego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju. Szerzej o artyście na str. 8



Rok X Zjazdu

Zaczyna się dyskusja

... nad projektem programu Polskiej
Zjednoczonej Partii Robotniczej, które-
go realizacja obejmować będzie schył-
kowe lata naszej dekady, lata dziewięć
dziesiąte, zaś w niektórych kwestiach
przekroczy rok dwutysięczny.

Intencją partii jest zainteresować za
wartością projektu wszystkie podsta-
wowe klasy i warstwy społeczne naro-
du, ponieważ bez aktywnego, czynnego
poparcia klas i warstw, program stać
się może jedynie interesującym doku-
mentem politycznym.

Projekt programu, wychodzący z ana-
lizy marksistowsko-leninowskiej rzeczy-
wistości Polskiej Ludowej, jest próbą od-
powiedzi na pytanie — jaką Polskę
chcemy i możemy mieć w sytuacji
współczesnego świata, w jego uwarun-
kowaniach. Partia przedkładając ten
dokument społeczeństwu pod dyskusję,
zakłada, że liczy się każdy głos, każda
krytyczna uwaga. PZPR pragnie aby
współtwórcą jej programu było całe
społeczeństwo. Zaś poddany pod dysku-
sję dokument, ze strony partii jest waż-
kim wkładem w porozumienie narodo-
we.

Na samym wstępie projektu stwierd-
za się — „Polska stoi przed wielkimi

i trudnymi zadaniami. Doganiając czas
utracony w kryzysowych latach, musi-
my sprostać wyzwaniom współczesne-
go świata, dotrzymać kroku przemia-
nom cywilizacyjnym, wnosząc rosnący
wkład w dzieło pokoju.

Polsce niezbędne jest przyspieszenie
rozwojowe. Tylko na tej drodze uda
się przezwyciężyć trudności codziennego
życia, coraz lepiej zaspakajając potrze-
by rosnącej liczby ludności, zapewnić
młodemu pokoleniu dobry start a we-
teranom walki i pracy — godne wa-
runki życia.

Wymaga to intensywnego wykorzysta-
nia zdobyczy rewolucji naukowo-tech-
nicznej i zasadniczego przełomu w efek-
tywności gospodarowania, ugruntowa-
nia sprawiedliwości i ludowładztwa,
pomnażania „umanistycznych wartości
w życiu człowieka i społeczeństwa.

Jutro w dosłownym sensie — tworzy
się dzisiaj. Historia nie wybaczyłaby ży-
jącym dziś pokoleniom nieudolności i o-
późnień w rozwiązywaniu wielkich naro-

dowych zadań. Mamy do tego niezbęd-
ne warunki”.

— Co uczynić, aby nasz orzeł wzbił
się do wysokiego lotu? Odpowiedzią na
to zasadnicze dziś pytanie jest projekt
programu PZPR. W odpowiedzi — kon-
tynuacji myślenia z IX Zjazdu, są też
daleko idące wnioski z dramatycznych
zakrętów naszej historii najnowszej.
Jest to też antycypowanie sytuacji, w
których gorzkie powtórki będą wyklu-
czone.

Jasno precyzując swój rodowód ide-
owy, cel strategiczny — zbudowanie so-
cjalizmu, partia w projekcie programu,
raz jeszcze określa się jako rzecznik lu-
dzi pracy. Jak na rzecznika przystało,
dążyć będzie do poszerzania wpływu lu-
dzi pracy, zwłaszcza klasy robotniczej,
na wszystkie dziedziny życia społecz-
nego, w tym na awans socjalny, kulta-
ralny, materialny, polityczny robotni-
ków, umacnianie ich sojuszu z chłopami
i inteligencją.

Jest to fundamentalna zasada nasze-
go ustroju społecznego.

Jako rzecznik, PZPR zdecydowanie
przeciwstawiać się będzie egatyzmowi
zjawiskom: klasowemu egoizmowi, prze-
jawom partykularyzmu i demagogii,
nieposzanowaniu własności społecznej,
lekceważeniu pracy i obywatelskiej
dyscypliny. Partia — rzecznik — przed-
stawionym społeczeństwu projekcie, ok-
reśla więc także swoją kierowniczą ro-
lę w procesie budownictwa socjalistycz-
nego.

Marksistowsko-leninowska analiza rze-
czywistości, projekcja przekształceń tej
rzeczywistości, tak aby wy- wolić całą
energii społeczną „la realizacji, mówi
o tym, jak wielki potencjał „mądrości ży-
ciowej doświadczenia, realizmu, jest w
samej partii. Projekt programu mówi,
jak daleko odeszła partia od sekciarskie-
go i dogmatycznego myślenia. — Ek-
sponowanie najlepsze „strony ludzkiej
natury, jej rozwijanie, wciąganie w-dzia-
łanie na rzecz dobra kraju, przestaje
być taktyczną grą.

RYSZARD ROWIŃSKI

Opinie i refleksje

Ku nowym horyzontom

W chwili gdy Czytelnik będzie miał w ręku ten numer NADODRZA — w Moskwie toczy się będą obrady XXVII Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Jest to niewątpliwie nie zwykłe doniesienie wydarzeń w życiu Kraju Rad, całej wspólnoty socjalistycznej, wywierające istotny i wspaniały wpływ na bieg wydarzeń międzynarodowych.

Pisaliśmy już na tym miejscu o projekcie nowego programu KPZR, który — po szerokiej, ogólnonarodowej dyskusji i wielu poprawkach — zostanie na obecnym Zjeździe uchwalony, jako wytyczna działania Partii.

Innym ważnym dokumentem przedstawiłom Zjazdowi są: „Główne kierunki rozwoju społeczno-gospodarczego do roku 2000”. Przewidują one, że dochód narodowy ZSRR ulegnie do roku 2000 podwojeniu, co stanowić będzie podstawę wszechstronnego rozwoju poziomu życia społeczeństwa radzieckiego, materialną gwarancję realizacji zamierzeń sformułowanych w tej dziedzinie.

W jakiej sytuacji ekonomicznej ZSRR obraduje obecny Zjazd KPZR, jak nieporównywalnie wzrosła ranga gospodarcza tego kraju, na arenie światowej, niech zaświadczy takie chociażby dane: Rosja carska, która zajmowała szóstą część powierzchni świata i skłaniała prawie 10 proc. jego ludności, — wytwarzała niespełna 4 proc. światowej produkcji przemysłowej. Produkcja ta była 10 razy mniejsza, niż w USA, 5-krotnie niższa, niż w Anglii i Niemczech, 2,5-krotnie mniejsza, niż we Francji i niewiele większa, aniżeli w małej Belgii.

W chwili obecnej (a chciałbym podkreślić, że jest to wskaźnik nie kwestionowany przez żaden autorytatywny międzynarodowy ośrodek badań ekonomicznych) ZSRR wysunął się na drugie miejsce w świecie (a w niektórych dziedzinach nawet na pierwsze) w podstawowych dziedzinach gospodarki narodowej. Pierwsze miejsce w świecie zajmuje Kraj Rad w wydobyciu ropy naftowej, gazu ziemnego, produkcji cynku, chłodziarek i zamrażarek, lokomotyw elektrycznych i spalinowych, cięgniów, siłowni, nawozów azotowych, włókien celulozowych, cementu, tkanin wełnianych, cukru i wielu innych.

Głównym elementem, zapewniającym dalszy dynamiczny rozwój gospodarki radzieckiej będzie wzrost wydajności pracy. Do końca obecnego stulecia powinna ona zwiększyć się o ok. 2,5 raza, co zapewni ZSRR czołowe pod tym względem miejsce w świecie. Kolejnym decydującym czynnikiem będzie wszechstronne wdrażanie i przyspieszenie postępu naukowo-technicznego. Wyrazi się to w koncentracji środków w tych dziedzinach produkcji, które są synonimem nowoczesności. Dotyczy to przede wszystkim elektroniki, energetyki atomowej, automatyzacji, inżynierii materiałowej. W wyniku tych przedsięwzięć wdrożone zostaną do produkcji nowe generacje wysoko wydajnych urządzeń technicznych, systemów maszyn i kompleksów sprzętu technicznego.

Nastąpi dalsze doskonalenie systemu zarządzania gospodarką narodową. Jednym z głównych elementów tego nowego systemu gospodarowania będzie zwiększenie ekonomicznej odpowiedzialności przedsiębiorstw przy równoczesnym rozszerzeniu ich samodzielności. O granicach zostaje w związku z tym rola ministerstw, które nie mogą narzucać zakładom żadnych innych wskaźników, oprócz ściśle określonych. Rozszerzony zostaje system bodźców ekonomicznych oraz zasadniczo podniesiona odpowiedzialność za jakość produkcji i rozwój jej asortymentów.

Wszystko to prowadzić będzie do stałego wzrostu dochodów realnych ludności oraz możliwości przeznaczenia coraz większych środków na fundusz spożywczy, oświaty, kultury, wypoczynku itp.

Te doniesienia przedsięwzięcia zmierzające do dalszego doskonalenia i rozwoju gospodarki radzieckiej, podejmowane będą w ścisłej współpracy ze wspólnotą socjalistyczną, na zasadach specjalizacji i kooperacji — tak, jak to określają uchwały ostatniej sesji RWPG. Kraje tej wspólnoty korzystają też będą mogły w coraz większym zakresie z tego przebogatego rezerwu zasobów na terenach, jakimi dysponuje Kraj Rad. Dotyczy to w ogromnym stopniu oczywiście również Polski, dla której ściślejsza współpraca ekonomiczna ze Związkiem Radzieckim otwiera coraz to nowe możliwości rozwoju.

Uważam śledząc obrady XXVII Zjazdu KPZR, musimy więc zawsze uzmysławiać sobie, że przyspieszenie, jakie gospodarka ZSRR osiągnie w ciągu najbliższych 15 lat będzie również czynnikiem inspirującym i wspomagającym dla wszystkich państw wspólnoty socjalistycznej.

MICHAŁ HOROWICZ

W X rocznicę powstania ZSMP

Polityczna aktywność młodzieży

NADRZĘDNYM celem działalności politycznej i pracy ideowo-wychowawczej wojewódzkiej organizacji ZSMP było kształtowanie socjalistycznej świadomości młodego pokolenia oraz jego więzi z partią. Organizacja dążyła do optymalnego uformowania sylwetki zaangażowanego, wykształconego i nowoczesnego młodego człowieka, twórczo działającego w środowisku pracy i zamieszkania.

Realizując program pracy ideowo-wychowawczej koła i instancje podstawowe ZSMP kładły podstawowy nacisk na kształtowanie i umacnianie patriotycznych i internacjonalistycznych postaw młodzieży, na jej przygotowanie do aktywnego i twórczego uczestnictwa w przemianach politycznych i społeczno-gospodarczych kraju i województwa. Uzyskane efekty były znaczne.

Wydarzenia sierpniowe zaaskowały Związek. Sytuacja jaka się wytworzyła uświadomiła szereg niedomagań ZSMP, jej czysto instrumentalny i akcyjny styl działania, mimo niewątpliwych osiągnięć. Szybkie odnalezienie się organizacji utrudniał brak podstawowych informacji o ówczesnej sytuacji politycznej kraju.

W sprawozdaniu z działalności wojewódzkiej instancji ZSMP za okres od grudnia 1979 r. do lipca 1981 r. stwierdzono m.in. „Zdani na siebie samych i na własną interpretację faktów podjęliśmy na przełomie sierpnia i września 1981 r. inicjatywę szerszych spotkań z czołową aktywnością z członkami koła w za-

kładach pracy. Służyły one określeniu stanowiska wobec wydarzeń w kraju (...) przyjęliśmy założenie, że organizacja musi być wszędzie tam, gdzie jest młodzież”. Kryzys sierpniowy poważnie osłabił wpływy i pozycję organizacji w środowiskach młodzieży. Nowo powstałe organizacje młodzieżowe (MZS, ZMW) krytykowały ZSMP, a niektóre z nich dążyły do rozbitcia Związku. ZSMP odparł te ataki i poczęła konsolidować się organizacyjnie oraz ideowo.

Z REGIONU

Kres anarchii politycznej w Polsce położył dekret o stanie wojennym. ZSMP przystąpił wówczas do pracy wyjaśniającej wśród młodzieży województwa. Nie było to zadanie łatwe dla aktywistów, lecz świadomość niezbędności takiego działania przezwyciężyła bariery wszelkich trudności. Związek włączył się aktywnie do tworzenia Obywatelskich Komitetów Oceny Narodowego, tworzenia struktur PRON i rozszerzył społeczną bazę swej aktywności.

Zasadnicze dokumenty, które wytyczyły działalność Związku po zniesieniu stanu wojennego stały się uchwały III Nadzwyczajnego Zjazdu ZSMP. Zjazd określił polityczny kształt i ideowe oblicze Związku. Wyszłi naprzeciw żądanom młodzieży, jej aspiracjom i potrzebom. Określił również przyoznaczony deforacji systemu wartości ideologicznych socjalizmu oraz wskazał na realne możliwości przezwyciężenia takiego stanu rzeczy.

III Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza, która obradowała 11 lipca 1981 r. określiła zadania programowe dla członków wojewódzkiej organizacji ZSMP i zobowiązała wszystkie ogniska Związku do opracowania na jej podstawie szczegółowych planów pracy, występowania ich realizacji i oceny oraz sta-

giej aktualizacji przy ich wdrażaniu. Kampania sprawozdawczo-wyborcza do wiodła, że Związek powstrzymał spadek liczebny i utrzymał aktywność.

Podstawową formą kształcenia politycznego w ZSMP, adresowaną do wszystkich członków organizacji, były zebrańskie szkoleniowe koła, związane tematycznie z najważniejszymi wydarzeniami w życiu politycznym i społeczno-gospodarczym kraju i województwa. Podejmowane w tym zakresie inicjatywy służyły w konsekwencji realizacji celów ideowo-wychowawczych nakreślonych przez PZPR.

Inną formą sprzyjającą podnoszeniu wiedzy społeczno-politycznej członków ZSMP była praca w kołach zainteresowań. W latach 1976-1977 uczestniczyło w nich ponad 3,5 tys. osób. Utworzono następujące koła wiedzy specjalistycznej: Koła Wiedzy o ZSRR, Koła Wiedzy Ekonomicznej, Kluby Myśli Politycznej oraz Szkoły Kształcenia Politycznego Kobiet. W latach 1980-1983 działalność tych koł prawie zanikła. Obecnie ZW ZSMP przystąpił do reaktywowania ich działalności.

W latach 1981-1984 szkolenie masowe członków wojewódzkiej instancji ZSMP realizowane było przez udział w zebrańskich szkoleniowych i zajęciach prowadzonych w ramach Szkół Aktywu. Dość aktywną działalność prowadziły w tym okresie Miejskie Szkoły Aktywu w Nowej Soli, Zaganiu, Żarach, Krośnie Odrzańskim i Szprotawie. Z chwilą zaostreżenia się sytuacji wewnętrznej w kraju i po ogłoszeniu stanu wojennego aktywność tych szkół znacznie osłabła.

Sporym zainteresowaniem młodzieży zrzeszonej w ZSMP cieszyły się Szkolenia Wszelchnie Historii Polski. Głównym ich celem jest kształtowanie znajomości pojęć historycznych, rozbudzanie wśród młodzieży zainteresowania historią Polski, w tym szczególnie najnowszej, kształtowanie postaw patriotycznych młodzieży, wyrobienie miłości

do Ojczyzny oraz udział w obchodach ważnych rocznic historycznych na terenie szkół.

Jedną z form kształcenia masowego członków ZSMP były Olimpiady Wiedzy Społeczno-Politycznej. Organizowane każdego roku, stanowiły zawsze podsumowanie efektów pracy kształceniowej w kołach ZSMP. Nie zawsze były one właściwie doceniane przez niektóre koła i instancje terenowe Związku. Sporadyczny był udział w olimpiadach młodzieży nieprzynależącej.

Szczególną rangę odegrały w politycznej działalności wojewódzkiej instancji ZSMP Polityczne Spotkania Młodych. Z inicjatywą ich organizacji wyszedł aktyw ideologiczny w 1976 roku. Zorganizowano dotychczas dziewięć tego typu spotkań, a miejscem ich obrad były Łagów, Lubuski, Drzonków i Zielona Góra. Spotkania służyły doskonaleniu zadań programowych Związku, a w szczególności kształceniu politycznemu oraz formowaniu kultury politycznej młodzieży.

W centrum problematyki dotychczasowych spotkań znalazły się m.in. problemy metodyki kształcenia politycznego w ZSMP, model współczesnego patriotyzmu młodzieży, rola prasy młodzieżowej w kształtowaniu postaw młodych Polaków, postępowe tradycje polskiego ruchu młodzieżowego, udział młodzieży pracującej w doskonaleniu form demokracji socjalistycznej, marksizm a młodość.

Przynależność członków ZSMP do partii oraz ich udział we władzach partyjnych, samorządach i innych organizacjach społecznych poważnie zmalał w okresie kryzysu i trwania stanu wojennego. Spadła poważnie liczba ogółu członków wojewódzkiej organizacji ZSMP z 24.466 członków w grudniu 1981 r. do 23.592 członków w grudniu 1982 r. Lecz już w grudniu 1983 r. wojewódzka organizacja ZSMP liczyła 24.896 członków. Zdolano więc powstrzymać tendencję spadkową.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Za ODRĄ

Nowa sytuacja rzemiosła

Rzemiosło NRD stanęło wobec nowych możliwości rozwoju. Szeroki rozwój rozporządzeń władz państwowych ma w znacznym stopniu poprawić sytuację finansową spółdzielczych i prywatnych producentów w kraju oraz przyczynić się do rozszerzenia ich działalności w sferze usług. W ostatnim okresie znacznie zmniejszyła się bowiem liczba przedsiębiorstw spoza państwa sektora usług w stosunku do lat pięćdziesiątych, zamierają stare, dobre tradycje w tej dziedzinie.

Nowe perspektywy otworzyły się przed rzemiosłem już w 1976 r., kiedy rząd NRD powziął decyzję udzielenia wszechstronnej pomocy prywatnym zakładom rzemieślniczym. W ten sposób powstrzymano gwałtowny spadek ich liczby, jaki nastąpił w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Przykładowo jedynie w okręgu Poczdam wydano od tego czasu 2.759 zezwoleń na prowadzenie działalności rzemieślniczej.

Obecnie powzięto kolejne decyzje. W maju ub. roku w nowy sposób uregulowano udzielenie kredytów oraz inne formy pomocy finansowej dla prywatnych rzemieślników. W przypadku otwierania nowych zakładów udzielane są np. znaczne kredyty na kupno urządzeń i wyposażenie. Firmy już istniejące mogą ubiegać się o dodatkowe środki finansowe na modernizację, racjonalizację czy rozszerzenie produkcji. Ponadto stopa procentowa w wysokości 5 proc. rocznie, jak i długie terminy spłaty kredytów, nawet do 8 lat, stanowią ułatwienie dla nowych firm. W szczególnych przypadkach jest możliwość zmniejszenia oprocentowania pożyczek albo dodatkowego przedłużenia terminu — ich spłaty.

Rzemieslnicy mogą ubiegać się o specjalne kredyty na zakup materiałów, części zamiennych, nie w pełni gotowych wyrobów itp., niezbędnych przede wszystkim dla zwiększenia wydajności produkcji małych zakładów. Udzielane są one na tych samych warunkach, co kredyty na zakup środków podstawowych. Zakład powinien jedynie dysponować przynajmniej 1/4 własnych środków produkcji. Banki wspólnie z radami narodowymi, udzielają także pomocy finansowej nowym firmom w przypadku chwilowych trudności w spłacie kredytów. W ub. roku wartość usług rzemieślniczych dla ludności wyniosła 18,5 mld marek, z tego aż 2/3 przypada na usługi budowlane. Nie chodzi tu jedynie o wzrost ilościowy, ale także o dalszą poprawę jakości usług — krótsze terminy świadczeń, wysoką jakość usług w każdej dziedzinie czy dłuższe terminy gwarancji wykonanych prac.

W 82.130 zakładach rzemieślniczych w NRD zatrudnionych jest obecnie 420 tys. osób. Wiele firm łączy się w spółdzielnie, których jest 2000.

Rekordowe zbory

W 1985 r. osiągnięto w NRD rekordowe wyniki rolnictwa: zebrano 11,6 mln

ton zbóż. Uzyskano to przy plonach w wysokości średnio 46 kwintali z 1 ha — w tym pszenicy 52,6 q i jęczmienia 49,3 q. Zarówno plony, jak i globalna produkcja, która już od 4 lat przekracza granicę 10 mln ton, są rekordowe dla rolnictwa tego kraju.

O ile w roku 5-letni 1976-1980 przeciętne plony zbóż kształtowały się na poziomie 38,5 q, to w latach 1981-1985 przeciętna ta wzrosła do 41,3 q na hektar.

W skali całego kraju zebrano średnio 265 q ziemienniaków z 1 ha, co jest także w rolnictwie NRD rekordem. Pozytywne wyniki osiągnięto w produkcji roślin pastewnych i innych upraw.

„Odkrycie” zapomnianych malowideł

Dyrekcja kolejowego przedsiębiorstwa gastronomicznego „Mitropa” dokonała ostatnio cennego, choć mocno spóźnionego „odkrycia”. Nie tyle chodzi o odkrycie ile o przypomnienie sobie o pięciu cennych ówczesnych malowidłach, które od 1913 r. zdobiły salę restauracyjną „Mitropa” na dworcu głównym w Lipsku. Obrazy były dziełami Otto Lange, związanego z awangardową grupą „Die Brücke”. („Most”). Lange namalował te obrazy na zamówienie królewsko-saskiej kolei żelaznej (która przed pierwszą wojną światową była samodzielnym przedsiębiorstwem).

W miarę upływu lat, zwłaszcza w latach wojny, obrazy uległy uszkodzeniu i w 1938 r. w trakcie kapitalnego remontu postanowiono je zastąpić innymi, współczesnymi dziełami.

Po blisko 30 latach przypadkowo przy pominięciu o tych obrazach dyrektor naczelny „Mitropy” w Lipsku Heinz Wotraski, który w latach młodości w charakterze kelnera podawał do stołu w dużej sali restauracyjnej. Dyrektor wydał polecenie i historyczne już malowidła odnaleziono w komplecie w scondku przeznaczonym na rozmaite rodzaje archiwalia i rupiecie. Przywołani przez dyrekcję historycy sztuki zgodnie orzekli, że chodzi w tym przypadku o wartościowe dzieła utrzymane w stylu drezdeńskiego ekspresjonizmu.

Okazało się niestety, że zęb czasu mocno je nadwzględł, przechowywano je w nie najlepszych warunkach. Podjęto prace konserwatorskie, które są na ukończeniu. Zakłada się, że już wkrótce obrazy odzyskają swój charakterystyczny konwencji rozmaite aspekty życia w Lipsku na początku XX wieku ponownie zdołają być wielką dworcową salą restauracyjną w czasie najbliższych, wiosennych Targów Lipskich.

(Alfa)

Za LABĄ

Polonistyka w RFN

Karl Dedecius, tłumacz i wydawca polskiej literatury w RFN, dyrektor utworzonego przed sześciu laty Deu-

tsches Polen-Institut w Darmstadzie, twierdzi, że tłumacz prac literackich powinien umieć wnikać w styl wielu różnych autorów, za każdym razem wydobywając go w przekładzie. Jego zdaniem, przekłady o charakterze akademickim, wprawdzie wierne, nie brzmią tak, jak teksty w oryginale. Podobno w języku niemieckim istnieje osiem przekładów dzieł Adama Mickiewicza, m.in. „Ballad i romansów”, „Dziadów” i „Pana Tadeusza”, lecz żadnego Dedecius nie uznaje za poetycki, upatrując w tym brak sukcesu wieszczą narodowego w RFN. Od pięciu lat frankfurcki dom wydawniczy Suhrkamp Verlag we współpracy z Deutsches Polen-Institut wydaje książki w serii „Polnische Bibliothek” (Biblioteka Polska). W serii tej ukazały się m.in. tom „Das Junge Polen” (Młoda Polska), „Bedenke, bevor du denkst” (Zastanów się, nim pomyślisz), „Rebell und Bauer” Leo na Kruczkowskiego (Korallen i Enam), „Vorurteilung” Stefana Zeromskiego (Przedwzięcie), „Asche und Diamant” Jerzego Anzelmowskiego (Popiół i diament). Książek polskich w RFN może ukazywać się więcej, ale brakuje doskonałych tłumaczy. W RFN można studiować polonistykę jedynie w ramach studium slawistycznego. Słuchacz może obrać sobie slawistykę jako jeden z dwóch głównych kierunków studiów, np. łącznie z germanistyką. To, który kierunek będzie główny, a który uzupełniający — zależy wyłącznie od uniwersytetu. Dotychczas polonistykę można było studiować jedynie jako przedmiot głównego kierunku studiów, najczęściej obok rusycystyki, stanowiącej zawsze kierunek główny. Obecnie niektóre uniwersytety, np. w Bonn i Getyndze, wprowadzają studia slawistyczne podzielone na trzy grupy filologii słowiańskich: wschodnią, zachodnią i południową. Rusycystyka przestaje być kierunkiem obowiązkowym, wybra nie polonistykę jako kierunku głównego staje się możliwe. Od nowego roku akademickiego na uniwersytecie w Moguncji ogłosić można bez przeszkód studiować polonistykę jako przedmiot główny. Uniwersytety mają jednak obrócić nie problemy z zapewnieniem kwalifikowanej kadry. W Hamburgu na tamtejszym uniwersytecie od niedawna pracuje profesor języka polskiego, a od kilku lat profesor historii literatury polskiej. Mimo to niewielu Niemców z RFN chce studiować polonistykę, a bez wykształconych polonistów trudno mówić o dobrych przekładach utworów pisarzy polskich na niemiecki.

Kto powinien milczeć?

Tak zatytułował swe wywody znany zachodniemiecki tygodnik „Die Zeit”. Ireszka rozważa jest trwająca od miesięcy kampania antypolska we francuskiej srodkach masowego przekazu, a w szczególności zarzuty wysuwane wobec narodu polskiego o postawę wobec Żydów podczas okupacji niemieckiej. Pismo przypomina w tym kontekście film „Snoan” i wywołaną przez niego antypolską dyskusję. „Byłoby to piękne i szlachetne, gdyby istniały dowody, że Polacy brali masowy udział w hitlerowskim akcja eksterminacyjnych — czytamy — niestety, jest to tylko chęć samobrony i odwracania uwagi od własnych grzechów. Jest bowiem bezspornym faktem, że właśnie w odróżnieniu od Polski, we Francji kolaboracyjne władze podczas okupacji pomagały generalnie hitlerowcom w zagładzie Żydów”. Autor cytuje wyjątki z

wydanej ostatnio we Francji książki Daniela Benedita’a „Marszyska droga do wolności za okupacji”, która rozpiera się bezilośnie o uległości władz Vichy, współpracujących z okupacyjnymi władzami niemieckimi, wobec Gestapo i omawia antyhumanitarne traktowanie emigrantów, w szczególności przeciwników Hitlera. Jeden z nich, Arthur Koestler, pisał, że byli traktowani jak „szumowiny ziemi”. Je szcze przed podziałem Francji na strefę okupowaną i nie okupowaną w czerwcu 1940 istniały obozy karne dla emigrantów. Autor ujawnia, iż rząd reżimu z nie okupowanej części kraju wydał Gestapo szereg emigrantów niemieckich, jak np. przewodniczącego frakcji SPD w Reichstagu Breitscheida, komunistycznych deputowanych do Reichstagu, Dahlema, Raut i Raedela i wielu innych. Emigrantom utrudniano oficjalny wyjazd z Francji, a pod koniec 1941 r. uchodźcom niemieckim w obozie zabroniono emigrować. Emigranci zydowskiej różnej narodowości od października 1940 r., kiedy wprowadzono nowy francuski status Żydów, byli narażeni nie tylko ze względu na politykę nazistowską, lecz także ze względu na antysemitkę praktyki reżimu Petaina. Po licznych obławach 27 marca 1942 r. za cząto pierwsze transporty do Oświęcimia. Także we Francji, przy czynnej pomocy miejscowych władz, rozpoczęła się „praktyczna realizacja ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej. „Die Zeit” cytuje również drugą książkę Davida S. Wymana „Porzucenie Żydów — Ameryka i holocaust 1941-45” i podsumowanie z niej dotyczące władz francuskich. Nie jest onajmniej zaskakujące — pisze ten autor — że placówki oficjalne uważały, co najmniej do 1944 r., ratowanie Żydów za coś, czego raczej należało uniknąć, niż się o to starać. Komentarz „Die Zeit” — postępowanie prasy i innych środowisk masowej publikacji we Francji jest co najmniej nie na miejscu i najwzruszający czas, zeby naszym zachodnim sąsiadom przypomnieć się ich postawa podczas okupacji wobec Żydów i emigrantów.

(4 na)

Gospodarka niemiecka

Niezwykle duże rozmiary, jak wynika z publikacji tygodnika „Quick” w orau w republikańskiej federacji gospodarka niemiecka. Według rozeznania Urzędu Pracy w Norymberdze, licząca osób pracujących „na lewo” wynosi ponad 500 000, przy czym przynajmniej 50.000 z nich otrzymuje zasiłki dla bezrobotnych lub korzysta z innych form pomocy finansowej ze strony państwa. Do tego dochodzi jeszcze ponad 500 000 osób nielegalnie zatrudnionych (niektórzy podają liczbę 600 000). Są to osoby, które podejmują pracę z pominięciem legalnego pośrednictwa i nie płacą (ani ich pracodawcy) oczywiście żadnych podatków i składek. Wszystko to określa się właśnie mianem gospodarki nieformalnej, która osłabia w RFN obroty rzędu 150-170 mld DM rocznie. Państwo ponosi z tego tytułu znaczne straty. Z racji samych tylko nie zapłaconych podatków wynoszą one przynajmniej 50 mld DM, a potrącenia na fundusz socjalny — 30 mld DM. Dalszych 1 mld traci państwo w wyniku nieplacenia składek na fundusz emerytalny.

(X)

POLSKI RUCH ZAWODOWY na Ziemi Lubuskiej ma bogatą tradycję. Zaraz po wyzwoleniu w wielu zakładach pracy tworzyły się kluby, domy kultury, świetlice i biblioteki. Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze powstał przy udziale teatrów amatorskich, które istniały wśród włókienników i kolejarzy. Z ruchu zawodowego wyrosła najpierw Państwowa Orkiestra Symfoniczna, potem Filharmonia Zielonogórska. Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie znalazło swoją siedzibę w po-

zmnieszonej zakłady książek. Trwa to zresztą od dawna. W 1949 r. w Polsce było około 7 tysięcy bibliotek zakładowych i punktów bibliotecznych, w 1979 r. tylko 3,7 tys.

Z najnowszych badań Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że 7,4 proc. nie czyta żadnych gazet (chodzi o grupę badaną — 11631 osób w wieku powyżej 15 lat). 21 proc. nie czyta żadnych tygodników i czasopism, 40 proc. nie czyta książek, 53 proc. nie chodzi

ciężki organizowane za pośrednictwem biur podróży za granicę i po kraju, a także opacznie pojmowana samodzielność przedsiębiorstw nastawionych na cele doradne.

Proces likwidacji zakładowych placówek kulturalnych i sportowych został ostatnio zahamowany. Przyczyniła się do tego ustawa o upowszechnianiu kultury oraz prawach i obowiązkach pracowników kultury, która umożliwiła zakładom pracy finansowanie domów kultury, klubów i bibliotek przez obciążenie

niczego nie zmienia, jeśli załogi, organizacje partyjne, młodzieżowe i związkowe nie poczną się odpowiedzialnie za upowszechnianie kultury, kształtowanie wśród ludzi pracy nawyków aktywnego uczestnictwa w ruchu amatorskim, w jego tworzeniu. Z badań przeprowadzonych w 114 zakładach pracy wynika, że większość działających w nich placówek kulturalnych utrzymywana jest z pieniędzy przedsiębiorstw, co czwarta placówka otrzymuje dotację z Funduszu Rozwoju Kultury, a tylko 6 utrzymuje się z zakładowych funduszy społecznych.

Odrodzonym związkom zawodowym, coraz mocniejszym i zasobniejszym, nie chodzi tylko o zahamowanie regresu, lecz i o stopniową odbudowę bazy kulturalnej, a także o rozwój kultury robotniczej. Rada Kultury i Sztuki OPZZ uważa, że nadal otwarta jest sprawa stworzenia systemu skutecznych bodźców, które zachęcały przedsiębiorstwa do aktywności na rzecz kultury. Obecne zasady są niekorzystne dla przedsiębiorstw utrzymujących placówki kulturalne. Rada proponuje rozważenie możliwości zwolnienia tych zakładów, które utrzymują placówki kulturalne, od częściowego lub całkowitego świadczenia na Fundusz Rozwoju Kultury. Okazuje się bowiem, że z aplauzem przyjęty Fundusz, już się zeształ, a środki na nim gromadzone, nie wystarczają na pokrycie wszystkich potrzeb placówek i instytucji kulturalnych. Teoretycznie Fun-

dusz każdego roku się powiększa, w praktyce, przy drożeniu materiałów i usług, jest on za mały.

Związki zawodowe uważają, że prowadzenie działalności kulturalnej należy do ich obowiązków. Nie chcą przestać jedynie na ożywieniu tradycji działalności kulturalnej, mają ambicję stać się mecenasem twórczości i uczestnictwem załóg pracowniczych w kulturze na miarę naszych czasów i potrzeb Polaków. Wymaga to z jednej strony lansowania wybranego modelu kultury, z drugiej zaś — wyposażenia zakładowych placówek kultury w sprzęt audiowizualny. Rada Kultury i Sztuki OPZZ uważa, by związki zawodowe sprzeciwiły się tandecie estradowej, często proponowanej ludziom pracy po wygórowanych cenach. Sprawa ta powinna być także rozpatrzona przez organizacje partyjne i administrację państwową, która nadzoruje przedsiębiorstwa estradowe.

Jest już wiele przykładów ożywienia działalności kulturalnej w zakładach pracy, daleko jednak do tego, co było chlubą zakładowych organizacji do końca lat siedemdziesiątych. Za upowszechnianie kultury odpowiedzialne jest państwo, ale i wszyscy jego obywatele, w tym i organizacje związkowe.

Od autora: W tekście wykorzystałem informację PAP o stanie kultury zakładowej, opracowaną na podstawie raportu sporządzonego w OPZZ.

KULTURA ZAKŁADOWA

Alfred Siatecki

mieszczeniach należących do „Stilonu”. Społeczność pracy zorganizowała Lubuski Zespół Pieśni i Tańca, Huta Miedzi w Głogowie w latach sześćdziesiątych fundowała stypendia twórcze. Wiele zakładów pracy, m.in. zielonogórski „Zastal”, kostrzyńska „Celuloza”, zielonogórska „Polska Wełna” i węzeł PKP od lat utrzymują orkiestry dęte. Barlinecki „Bomeł” zbudował okazały Dom Kultury, „Stilon” organizuje plenery tkackie. W ostatnim 40-leciu związki zawodowe były drugim, po państwie, mecenasem kultury. Na początku lat osiemdziesiątych związki zawodowe przestały się interesować tą problematyką, co stało się jednym z powodów regresu w kulturze. M.in. „Zastal” zlikwidował Zakładowy Dom Kultury, z utrzymywania Zakładowo-Osiedlowego Domu Kultury wycofała się „No vita”, włókiennicze żaganczy i odlewnicy szprotawscy zlikwidowali kina, również organizacje związkowe państwowych gospodarstw rolnych przestały wyświetlać filmy w salach wiejskich. W latach 1981—83 zlikwidowano lub zawieszono działalność m.in. 113 domów kultury, 769 klubów i świetlic zakładowych, 500 bibliotek związkowych oraz 681 fabrycznych filii i punktów bibliotecznych. Około 1000 instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego odeszło do innej pracy, co spowodowało likwidację wielu zespołów artystycznych i kół zainteresowań. Informują o tym autorzy raportu sporządzonego w Ogólnopolskim Porozumieniu Związków Zawodowych. W obu lubuskich województwach straty też są olbrzymie, właściwie trudno znaleźć zakład pracy, który zachował bazę i kadre swoich placówek kulturalnych. Do nielicznych na pewno należy Huta Szkła „Kunice” w Żarach, „Bomeł” w Barlinku, „Stilon” w Gorzowie, „Dołmnet” w Nowej Soli, Węzeł PKP w Zbąszynku. Ale niewiele się dzieje w „Polskiej Wełnie” w Zielonej Górze, w „Odrze” w Nowej Soli, w „Eltermie” w Świebodzinie, w PGR w Zaganiu.

Najbardziej ucierpiało czytelnictwo w zakładach pracy; o blisko 40 procent

w ogóle do kin. Tylko kilka procent bierze udział w amatorskim życiu artystycznym. Na koncertach muzycznych w filharmonii obecna jest stale niewielna grupa Polaków.

Głównym powodem regresu w kulturze, w tym i kulturze zakładowej, jest wzrost kosztów utrzymania placówek, napór konsumpcyjnych potrzeb społecznych, m.in. droższych czasów, wyjazdów na grzybobranie, wędkowania, wy-

żenie tymi wydatkami kosztów działalności przedsiębiorstw. Obecnie kultura zakładowa może być finansowana z kilku źródeł: z funduszu społecznego, funduszu załogi, nadwyżki bilansowej w spółdzielczości oraz ze środków związków zawodowych. Mimo to finansowanie kultury ciągle uzależnione jest od dobrej woli zakładów, samorządu i związków zawodowych. W tej sprawie nawet najdoskonalsze ustawy i zarząd-



Plenerowa wystawa prac plastyków amatorów w PGR Przytoczna

Fot. CZ. LUNIEWICZ

RFN — rok przed wyborami

Wacław Miziniak

DEMOKRACJE zachodnie mają to do siebie, że do końca podliczania głosów w dniu wyborów nigdy nie jest na 100 procent wiadomo, kto przejmie ster władzy, a kto zasiądzie w ławach opozycji. Uciechę z tego mają liczni dziennikarze spekulujący na wiele miesięcy przed wyborami, jakie konfiguracje polityczne wchodzi w grę; kto z kim, dlaczego i przeciwko komu. Wsparci wynikami instytucji demoskopijnych prześcigają się w prognozach. Każdy z nich, mimo, że tego nie definiuje, ma swoje polityczne sympatie i w miarę możliwości stara się dorzucić kamyk do kwiecistego w programowe słowa (walka wyborcza!) ogródka. Ale nie zawsze to skutkuje; często wręcz przeciwnie — pełni rolę niezamierzoną. Tak jest w przypadku partii Zielonych na rok przed wyborami federalnymi do Bundestagu. Ba, mimo zarzutów ze środowisk prawicowych, chadeckich, dystansowania się socjaldemokratów od Zielonych, zielony ogródek jakby zakwitł ponownie, a uprawiający go Zieloni odbudowują swoją pozycję.

O co chodzi w tych rozgrywkach przedwyborczych? Dla czego i czy rzeczywiście niebezpieczna stała się partia ruchu ekologicznego i pokojowego, spływająca jeszcze nie tak dawno na straty, zwłaszcza po porażkach wyborczych w kraju Saary i w Nadrenii Północnej — Westfalii w ubiegłym roku?

Otóż przedwyborcze rachuby w RFN zakłócił — wbrew zaleceniom rządów federalnych — mariaż Zielonych z socjaldemokratami (SPD) w Hesji. Po zjeździe w Neu Isenburg, mimo sprzeciwów tzw. fundamentalistów w partii Zielonych, którzy, programowo występują przeciwko jakimkolwiek formom współpracy, doszło do zawązania pierwszego

RZĄDU KOALICYJNEGO SPD/ZIELONI

na szczeblu kraju federalnego. Narzeczeństwo Zielonych z czerwonymi (socjaldemokratami) trwało dość długo i kiedy już kilkakrotnie miało dojść do współpracy, zawsze pojawiały się jakieś przeszkody; czy to był sprzeciw hes-

kich Zielonych, tzw. bazy, czy brak odpowiedniego „zielonego” kandydata do ewentualnego przyjęcia teki ministra, czy też warunki stawiane przez szefa rządu Hesji, socjaldemokratę Holgera Boernera. Znalazł się jednak kandydat i warunki polityczne (możliwość utraty władzy na rzecz CDU i FDP) zmuśli Boernera do kompromisu.

Tak więc wbrew zaleceniom Głównego Komisji Federalnej Zielonych, Joseph (Joschka) Fischer został ministrem ochrony środowiska i energetyki rządu krajowego w Hesji. Jednocześnie Marita Haibach (również Zieloni) została sekretarzem stanu do spraw kobiet. Niewątpliwie „ekologiczny” minister jest przy czyną ostrych ataków ze strony kół przemysłowych, zwłaszcza przemysłu chemicznego. Błdy strach padł na firmę inwestującą w Hesji. Jeden z największych koncernów zachodniemieckich Hoechst AG (obroty 41 mld marek, 50 tys. osób zatrudnionych w samej tylko Hesji) zapowiedział już wycofanie się z inwestycjami do landów sąsiednich. Przyczyna obaw jest jedna — Joschka Fischer zapowiedział ściśle przestrzeganie przepisów i ustaw dotyczących ochrony środowiska. „BILD” cytuje szefa Związku Niemieckich Przemysłowców Hansa — Joachima Langmanna: „koalicja z awanturnikami (typowe określenie na Zielonych w kręgach chadeckich — W.M.) w Wiesbaden w znacznym stopniu pozbawiła gospodarke poczucia bezpieczeństwa. Obawiam się, że małe i średnie firmy będą ostrożnie podchodzić do dalszych inwestycji, odkładając je do czasu, aż warunki polityczne staną się znów bardziej przejrzyste”.

Sztuczna i konsekwentna postawa „zielonego” ministra wywołała również obawy w innych kręgach; ograniczenie inwestycji pociągnęłoby zmniejszenie miejsc pracy, co w przypadku dzisiejszej RFN jest sprawą zasadniczą. Najbliższe miesiące pokażą, w jakim kierunku rozwinięła się sytuacja w Hesji, ale zdaje się już, że wokół ewentualnych „regul” inwestycyjnych powstała nieproporcjonalnie do skali zjawiska duża wrzawa. Powoli i w sposób niezamie-

rzony, wbrew założeniom Zielonych, że partia ta będzie unikać gwiazdorstwa politycznego (znowu ta alternatywność Zielonych!), Joschka Fischer urósł do postaci nr 3 w gremiach kierowniczych. Mniej się już mówi o Petrze K. Kelly, założycielce partii i jednej z pierwszych przewodniczących (n.b. przeciwna jest ona zielono-czarnej koalicji) czy o adwokacie z Berlina Zachodniego Otto Schil tym (aktywny w komisji ds. tzw. afery Flicka). Pozycja i poparcie udzielone trzydziestoparoletniemu księgarzowi z Frankfurtu nad Menem — Fischerowi świadczą, że w dyskusji o ewentualnej koalicji Zielonych z SPD (tzw. realis lub realos) czy odrzucającej taką ewentualność (tzw. fundamentalis lub fundis) górę wzięli realos. I właśnie z tych kręgów słychać nawoływania do wycofania z „modelu heskiego” wniosków i starannego przygotowania kampanii wyborczej. Coraz mniej mówi się o Zielonych jako o partii protestu, coraz częściej natomiast o uznającej reguły gry, politycznej, normalnej partii parlamentarnej. Model heski jest oceniany jako przynajmniej do ewentualnych koalicji po wyborach w 1987 r. Na rok przed wyborami — jak rzadko — wszystko jest jeszcze wielką niewiadomą. Wyniki badań socjologicznych (np. Alenbach, SINUS, Infratest) wskazują, że

CDU I SPD IDĄ LEB W LEB

jeśli chodzi o popularność i ewentualne zwycięstwo. Tak jest od wielu lat, gdy chadecja i socjaldemokraci zdobywali podobne ilości głosów. Stąd też umizgi i zloty do małej partii wolnych demokratów FDP, która de facto pozwałała (przez swoje przyłączenie się do jednej z tych partii) przejąć władzę. FDP z Hansem Dietrichem Genscherem, a potem z Martinem Bagemannem na czele miała zawsze jasność, że pełni rolę języczka u wagi i w zależności od politycznej koniunktury stawała do dyspozycji SPD czy CDU. Niekiedy robi to w sposób cyniczny, ratując swoją polityczną egzystencję (tj. konieczność otrzymania 5 proc. głosów aby być w parlamencie) wiąże się z dotychczasowym politycznym przeciwnikiem. Tak było jesienią 1982 roku, kiedy Genscher (FDP) oświadczył kancierzowi Helmutowi Schmidtowi (SPD), że zrywa koalicję z SPD i przeszedł do obozu chadecji. Był to początek końca ery Schmidta i przygotowanie fotela kancierskiego dla szefa partii CDU — Helmuta Kohla. W polityce, jak pokazały setki podobnych

przykładów, nie ma moralności i lojalności, miejsce tych zasad zajęły brutalne metody walki o władzę i utrzymanie się na powierzchni. Mamy jednak rok 1985 i obok FDP drugą małą partię (5,6 proc. głosów w ostatnich wyborach do Bundestagu) reprezentowaną na forum ogólnofederalnym — Zielonych. Czy jednak

ZIELONI ODEGRAJĄ ROLĘ JĘZYCZKA U WAGI

w przyszłorocznych wyborach? Nie można na razie powiedzieć „tak” ani „nie”. Sytuacja jest skomplikowana i jak rzadko trudno o jasne prognozy. Jednak parę faktów jest oczywistych i one rzutować będą na układ sił. Przede wszystkim wykluczyć należy jakiejkolwiek porozumienie, chodzi oczywiście o płaszczyznę ogólnofederalną, między chadecją reprezentowaną przez CDU i CSU a więc H. Kohla i F. J. Straussa a partią Zielonych. Można powiedzieć: dwa skrajne bieguny polityczne, dwa wrogości polityczni. Zresztą żadna ze stron nie kryje swoich niechęci i wrogości do siebie. Zieloni w koalicji z SPD? Na razie, rok przed wyborami — mało prawdopodobne. Pacyfistyczno-lewicowy program Zielonych jest nie do zaakceptowania przez tzw. przeciętnego socjaldemokrata. Wyborcom SPD odpowiadała forma państwa, z którą Zieloni się nie zgadzają. Przede wszystkim SPD nie przystanie na hasła Zielonych nawołujące do wystąpienia RFN z NATO i rozbięcia struktur integracyjnych Europy Zachodniej.

Jeśli eksperyment heski się powiedzie i koalicja SPD/Zieloni będzie mogła pochwalić się jakimiś sukcesami (jak na razie chodziło o odsunięcie CDU/FDP od władzy) należy przypuszczać, że socjaldemokraci zmienią. Oczywiście, inaczej będzie wyglądała sytuacja w przypadku gdy Zieloni nie uzyskają 5 proc. głosów i nie wejdą do Bundestagu. Socjaldemokraci zakładają właśnie taki scenariusz i mówią o absolutnym zwycięstwie (pow. 50 proc. głosów) i nie dzieleniu się rządami. Czy to jest możliwe? Teoretycznie tak. Śledząc wyniki badań demoskopijnych i optymizm kandydata na kanciera z ramienia SPD Johanna Raua nie można takiej sytuacji wykluczać. Parę tygodni temu,

na pytanie instytutu INFRATEST: na co obywateli głosowaliby w najbliższą niedzielę, 44 proc. poparłoby SPD, 41 proc. — CDU. Co w takiej sytuacji, nie mogąc samodzielnie utworzyć rządu, zrobiłaby SPD? „Zdradzona” przez wolnych demokratów, niechętna wobec Zielonych (oczywiście jeśli „przejdą”), pozostalaby jej jedno:

STWORZYĆ KOALICJĘ SPD/CDU/CSU

Jest to w 1987 r. praktycznie niemożliwe ze względu na zasadnicze różnice zdań w sprawach podstawowych: stosunku RFN do USA (program SDI), zbrojeń RFN w „Pershing-2” i Cruise, odmiennych koncepcji rozwiązań spraw społecznych. Jednak mimo tych programowych różnic pojawiają się głosy nie wykluczające takiej konfiguracji.

Nie można jednak powiedzieć, żeby obecny kancierz stał na pozycjach spalonych. Mimo wielu afer politycznych Kohl pochwalić się może relatywnie dobrym bilansem płatniczym, bardzo niską stopą inflacji, wzmocnieniem marki zachodniemieckiej i utrzymaniem bezrobocia na stałym poziomie (co jest sprawą istotną, obserwując jego wzrost w pozostałych państwach Wspólnoty Gospodarczej). Daje to Kohlowi podstawy do optymistycznych wypowiedzi pozwaia obecna koalicja CDU/CSU — FDP traktować również jako bardzo prawdopodobny wariant na przyszłość. Oczywiście, jeśli FDP się utrzyma, co na razie jest bardzo prawdopodobne. A może FDP pod kierownictwem Bagemanna po okresie „zdrady” wróci do starego małżeństwa z SPD?

Wszystko to są jednak spekulacje. Polityka w odróżnieniu od nauk ścisłych jest taką dziedziną, że

DO KONCA NIC NIE WIADOMO

Czy przebieg kampanii wyborczej i wyniki wyborów mają jakieś znaczenie szersze, dla świata, dla Europy, dla Polski? Pytanie relokacyjne. Nas Polaków powinien interesować partner, myśląc o przyszłych kręgach kierowniczych w RFN, który dla dobra obu stron starać się będzie wykorzystywać prawie że sąsiedztwo. Różnice w formach gospodowania, sprzeczności w sterze ideologicznej nie mogą stanowić bariery we wzajemnych kontaktach; będą one miały sens, jeśli przyniosą one korzyści obu stronom.

partii osobę, która za współpracę z partyzantami radzieckimi została odznaczona orderem Czerwonej Gwiazdy. Jednocześnie w pow. zgorzeleckim usunęto z pracy komendanta ORMO, gdyż „zbyt dużo czasu poświęcał na działalność partyjną”. W czerwcu 1947 r. KC PPR przystąpił do akcji wewnątrzpartyjnej — wymiany legitymacji tymczasowych na stałe i uporządkowania ewidencji. Akcja trwała siedem miesięcy i w jej rezultacie z ewidencji skreślono 156418 tzw. martwych dusz, usunięto z partii 14826 osób. N dzień 1 stycznia 1948 r. PPR liczyła 820786 członków.

NAJWAŻNIEJSZYM OGNIWEM

przemian w życiu politycznym było dążenie do zjednoczenia ruchu robotniczego, sprawa połączenia PPR z PPS i utworzenie jednolitej marksistowskiej partii klasy robotniczej. Na lata 1947-1948 przypadał okres zbliżania się obu partii do jednolitej organizacji, który równocześnie wypełniała kampania o charakterze ideowo-politycznym, dotycząca istoty mającego nastąpić zjednoczenia. W kampanii tej chodziło o to, ażeby u podstaw zjednoczenia znalazła się ideologia marksistowsko-leninowska, aby nowa, zjednoczona partia była kontynuacją rewolucyjną a nie reformistyczną tradycją polskiego ruchu robotniczego.

Obie partie robotnicze łączyła myśl zbudowania socjalizmu w Polsce. Jednakże w ustaleniu metod realizacji wspólnego celu dochodziło do znaczących różnic między PPR i PPS. Nabierały one ostrości po wyborach sejmowych w styczniu 1947 r.

PPS, posiadająca bogatą tradycję walki rewolucyjnej oraz znaczną popularyzność w szeregach klasy robotniczej a zwłaszcza inteligencji, pragnęła wcielić własny program budowy socjalizmu. Program, nad którym mimo poważnych przemian ideowych w okresie okupacji, ciążyły poglądy i tradycje socjaldemokratyczne. W PPS ścierały się dwa nurty: lewicowy — jednolito-frontowy oraz prawicowy — antyjednościowy, zmierzający do rywalizacji z PPR o wpływy, przypisujący PPS rolę trzeciej siły obok PPR i PSL.

Założenia programowe PPS opierały się na przesłance, że zmiany ustrojowe w naszym kraju dokonują się bezkrytycznie i proletariatu nie będzie musiał sięgnąć po oręż dyktatury proletariatu na wzór Rosji Radzieckiej. Uwzględniając odmienność sytuacji w Polsce i ZSRR oraz niedocenianie siły kontrrewolucyjnej, wysunęło tezę o możliwości budowania socjalizmu drogą ewolucyjną, bez uciekania się do użycia siły. W związku z tym socjaliści domagali się przyspieszenia procesu demokratyzacji życia społeczno-ekonomicznego kraju. Nawoływali do rozwoju różnego rodzaju form samorządowych, przede wszystkim samorządu robotniczego, zwiększenia kompetencji Sejmu i rozszerzenia swobód obywatelskich.

Wprawdzie wiele postulatów wysuwanych przez PPS było słusznym, jednak w warunkach ostrej konfrontacji z reakcyjnym podziemiem zbrojnym i legalną opozycją PSL, miały one małe szanse realizacji.

Poważne różnice zdań dotyczyły zagadnień ekonomicznych. PPS stawiała na równomierny rozwój trzech sektorów gospodarki — państwowego, spółdzielczego i prywatnego. PPR zdecydowanie preferowała rozwój sektora państwowego, kosztem pozostałych. Część działaczy PPS przyjęła koncepcję pepeerowską jako zamach na dotychczasową pozycję

spółdzielczości w ekonomice kraju, pośrednio uderzając w podstawy partii socjalistycznej. Stąd też doszło do nastrojów antyjednolito-frontowych w szeregach PPS. Jednak szybko do głosu doszła lewica, czego wyrazem była uchwała Rady Naczelnej PPS z 30 czerwca 1947 r. Formowała ona wyraźną dążność socjalistów do współpracy z komunistami. Równocześnie nasiliła się ofensywa polityczna PPR, mająca na celu doprowadzenie do zjednoczenia z PPS na marksistowskich podstawach. Z. Kliszko na łamach „Nowych Drog” pisał: „Każdy pepeerowiec i pepeerowiec rozumie, że połączenie PPR i PPS w jedną partię nie będzie prostym zsumowaniem kół organizacji terenowych obu partii. W rezultacie połączenia partii powstanie nowy organizm, nowa partia kierująca się rewolucyjną teorią marksizmu-leninizmu”.

jak najliczniejsza, bo to miało ogromne znaczenie prestiżowe w społeczeństwie polskim”. Powstawały spory, czy w pochodzie 1-majowym partii mają iść razem, czy oddzielnie. W konsekwencji zwyciężył zdrowy rozsądek, że lepiej razem, bo w jednolitej tkwi siła klasy robotniczej.

W szeregach PPS znajdowała się znaczna część inteligencji, fachowców reprezentujących odpowiedni poziom wyrobienia politycznego, mających doświadczenie i nawyki w kierowaniu ludźmi, posiadających umiejętności argumentowania, przemawiania na wiecach i zebraaniach. Władza ludowa, szukająca szerzej płaszczyzny współpracy, korzystała też z doświadczeń naukowców i polityków okresu przedwojennego. Z Rumunii ściągano na Wybrzeże inżyniera E. Kwiatkowskiego, któremu powierzone Urząd Pełnomocnika Rządu ds.

tej broni nie dali, powiedzieliśmy, że sklepy prywatne „można łaską pilnować”. Aparat gospodarczy na Pomorzu Gdańskim opanował pepeerowcy i bezpartyjni, udział pepeerowców był znikomy. Prywatne przedsiębiorstwa przełączkowe w portach Wybrzeża dysponowały ogromnymi funduszami. Właściciele kutrów rybackich stali się inżynierami, kupcy zatrudniali rybaków jako najemną siłę roboczą. Inicjatywa prywatna wspierała nie tylko działalność kontrrewolucyjnego podziemia, ale też i mikolajczykowski PSL. Działalność PPS finansowały różne instytucje dochodowe, a w małych miejscowościach restauratorzy dość często karmili członków PPS za darmo. Socjaliści dysponowali znacznie większymi funduszami na działalność organizacyjną, aniżeli pepeerowcy. Potrafili doskonale organizować wiece i manifestacje, a to robiło wrażenie na masach.

PPR MIAŁA DUŻE WPLYWY

wśród robotników, a niewielkie u inteligencji. Na wspólnym zebraniu członków PPR i PPS w środowisku kolejarzy wrocławskich szczególnie ostro atakowano PSL i prawicę PPS. Znamienna pod tym względem była wypowiedź jednego z uczestników: „Wściekły pies Mi kolajczyk uciekł, a zarazki wściekły zostają”. Prawicowych członków PPS określano „jako zwykłych agentów Mi kolajczyka lub Andersa”. Z przebiegu dyskusji wynikało, że PPS „cierpi na kompleks niższości wobec PPR i mimo wyraźnych zapowiedzi połączenia obu partii, ma zał, że zostanie „pochłonięta” przez PPR.

Na licznych zebraniach aktywu PPR i PPS w Szczecinie, Zielonej Górze, Wrocławiu, Olsztynie i Opolu podejmowano rezolucje, opowiadające się za jak najszybszym zjednoczeniem ruchu robotniczego, za wzmocnieniem walki ze spekulacją, za likwidacją ugorów, za tworzeniem samopomocy chłopskiej, za podniesieniem wydajności pracy. „Reakcja zerwała na różniakach, które istniały między naszymi partiami — głosiła uchwała wspólnej rady aktywu wojewódzkiego PPR i PPS w Olsztynie z sierpnia 1947 r. „Dalej czytamy w uchwale, że na Ziemiach Odzyskanych bardziej aniżeli gdziekolwiek indziej nie może być miejsca na reakcyjną robotę kierowaną przez obcą agenturę przeciw jednolitemu frontowi. Zasada jednolitej klasy robotniczej na ziemi warmińsko-mazurskiej powinna być szczególnie strzeżona, winna stać się niedostępną fortecją dla wroga”. Rezolucje zobowiązywały obie partie do usuwania ze swych szeregów „zdecydowanych wrogów jednolitego ruchu robotniczego”. Drugie półrocze 1947 r. to okres dużej aktywności członków PPR i PPS we wspólnych kampaniach politycznych i gospodarczych. Ty się ludzie uczestniczyli w tym czasie w różnych komisjach kontrolnych w handlu.

Proces kształtowania postaw jednolito-frontowych w szeregach PPS nie przebiegał jednak bez oporów. Wprawdzie jesienią 1947 r. PPS przystąpiła do porozumienia PPR i SL w sprawie reformy ruchu spółdzielczego, modyfikując swój program gospodarczy i zbliżając go do koncepcji pepeerowskich, jednakże na zwołanym w grudniu 1947 r. XXVII Kongresie podkreśliła samodzielną rolę partii socjalistycznej w kształtowaniu ustroju Polski. Wypowiadając się za współpracą z PPR rezolucja Kongresu stwierdzała: „PPS dała i daje wielki wkład myśli i czynów w budowę i przebudowę Polski (...), PPS jest potrzebna na drodze polskiej”.

Rezolucja Kongresu wrocławskiego świadczyła, że siły dążące do zacieśnienia współdziałania z PPR nie osiągnęły jeszcze zdecydowanej przewagi. Stąd też nie ostatecznie były głosy terenowych aktywistów PPS, że „nigdy nie dojdzie do tego, aby PPR i PPS połączyły się, są

to dwa odrębne bieguny. Z PPR może być tylko razem po linii współdziałania”. „Ja ojcem świętym zostanę”. Jeżeli PPS połączy się z PPR — oświadczył sekretarz komitetu miejskiego PPS w Wałcu. PPR — dowodził, może rzadzić „w Chinach, Rosji Sowieckiej, ale nie w Polsce”. W Szczecinie pepeerowcy podejmowali próby nie dopuszczenia do wspólnych zebrań z udziałem członków obu partii. Na jedno z ostatnich spotkań przybyło wprawdzie, aż dziesięciu pepeerowców, lecz „zawzięcie milczeli”.

Istotne znaczenie dla umocnienia tendencji jednolitościowych w PPS i zwalczania prawicy miały decyzja Rady Naczelnej CKW partii o przeprowadzeniu powszechnej weryfikacji członków. Rozpoczęto ją w grudniu 1947 r. Walkę z siłami prawicowymi w PPS prowadzono często mechanicznie. W Słupsku KM PPS wytypował dwudziestu „prawicowców” i na tym sprawę weryfikacji uznał za zakończoną. W grudniu 1947 r. liczba członków PPR na ziemiach zachodnich i północnych wynosiła 245 tys., a PPS spadła do 214 tys., po zakończeniu weryfikacji w czerwcu 1948 r. nie przekraczała 168 tys. osób.

WIOSNA 1948 ROKU

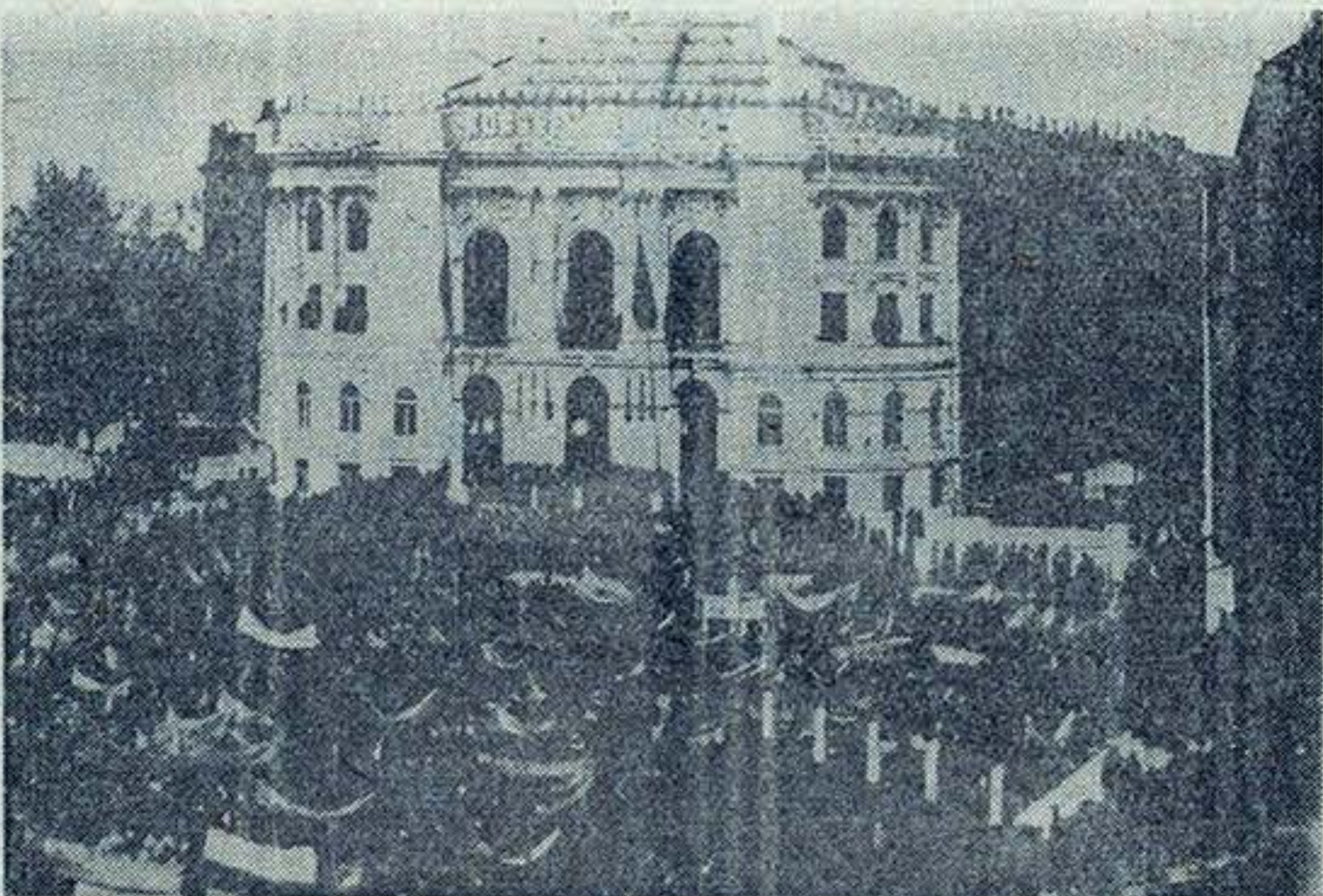
nastąpiło nasilenie dążeń do jak najszybszej integracji obu partii robotniczych. Niewątpliwie wpływ na ten proces miała sytuacja międzynarodowa, w pierwszym rzędzie w świecie kapitalistycznym — zwiastująca nadejście okresu „zimnej wojny”, jak też działalność Biura Informacyjnego europejskich partii komunistycznych. Tendencje zimnowojenne, niepokojące zjawiska w międzynarodowym ruchu robotniczym, zwiastująca w międzynarodowie socjalistycznej, usuwanie sił lewicowych, głównie komunistów z rządów państw zachodnich (Grecja, Włochy, Francja), wymagały konsolidacji sił w obozie demokracji ludowej.

W marcu 1948 r. KC PPR i CKW PPS powzięły uchwałę o podjęciu bezpośrednich przygotowań do zjednoczenia. Wezwano członków obu partii do tworzenia komitetów współpracy tzw. szóstek partyjnych, składających się z przedstawicieli PPR i PPS. Ich zadaniem było przygotowanie polityczne i organizacyjne partii do zjednoczenia. Podkreślano potrzebę szerokiej dyskusji na wspólnych zebraniach poświęconych problemom współpracy obu partii, przystąpieniu do wspólnych szkoleń partyjnych. W tym też okresie rozwinęto intensywną akcję propagandową, której wynikiem było zjednoczenie partii robotniczych. W przededniu tego historycznego aktu organizacje PPR i PPS liczyły na ziemiach nadodrzańskich i nadbałtyckich łącznie ponad 450 tys. członków. Najliczniejsze organizacje partyjne istniały w tym czasie na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie oraz na Pomorzu Zachodnim. Ogółem na terenie kraju PPR liczyła już ok. 1 mln członków a PPS — ok. 600 tys. Zjednoczenie partii poprzeczne zostało zjednoczeniem ruchu młodzieżowego 16 października 1947 r. ZWM i OMTUR podpisał umowę o współpracy organizacyjnej, co umożliwiło wysunięcie hasła zjednoczenia. 22 lipca 1948 r. na Kongresie we Wrocławiu cztery organizacje (ZWM, OMTUR, ZMW „Wici” i ZMD) jednoczyły się powołując do życia Związek Młodzieży Polskiej (ZMP).

Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS obradował w dniach 15-21 grudnia 1948 r. w gmachu Politechniki Warszawskiej. W toku obrad uczestnicy wysłuchali podstawowych referatów — B. Bieruta „Podstawy ideologiczne PPR” i J. Cyrankiewicza „Droga PPS do Zjednoczonej Partii”. Uchwalono „Deklarację ideową PPR”, „Statut PPR” i wziętych 6-letniego planu rozwoju i przebudowy gospodarczej Polski. Przewodniczącym KC PPR został Bolesław Bierut.

JAN GOLEC

TRUDNA DROGA



Wiece przed Politechniką z okazji Kongresu Zjednoczeniowego.

Repr. CZ. LUNIEWICZ

Nie wszyscy jednak członkowie PPS optowali za taką formę zjednoczenia. Prawica PPS usiłowała nie dopuścić do zjednoczenia ruchu robotniczego, chciała stworzyć z partii trzecią siłę, stanowiącą „języczek u wagi” w toczącej się walce politycznej między siłami rewolucyjnymi a przeciwnikami ustroju komunistycznego w Polsce. Na plenum KW PPR w Szczecinie zwrócono uwagę, iż część członków PPS nie rozumie znaczenia przebudowy partii, „że pojmując demokrację ludową traktując ją jako złoty środek pomiędzy ustrojem kapitalistycznym a socjalistycznym”. Zjednoczenie ruchu robotniczego traktowano jako prostą syntezę dorobku PPR i PPS, a w praktyce dążono do eliminowania pepeerowców z aparatu państwowo-gospodarczego. W codziennej pracy partyjnej nie można było uniknąć sporów, różnic zdań. Wzajemne pretensje powstawały na tle walki o „rząd dusz” — jak pisał J. Kowalski, jeden z organizatorów władzy ludowej na Pomorzu Gdańskim: „Myśmy im przechwytywali ludzi, oni tzn. pepeerowcy robili to samo, przecież każdy chciał, żeby jego partia była

Wybrzeża. Kwiatkowski nie ukrywał swoich sympatii do PPS i antypatii dla PPR. Na jednym z wieców przedwyborczych w 1947 r. przypomniał stocznikom, iż przed wojną piastował stanowisko ministra w 13-tu gabinetach rządowych, a w 4 czy 8 był premierem. W obecnej sytuacji politycznej nawoływał jednak do głosowania na listę bloku demokratycznego, ponieważ miał zaufanie do takich ludzi jak Gomułka, Osóbka-Morawski i Rusinek.

Ówczesny sekretarz WK PPS w Gdańsku, Jarecki uważał, że PPR i PPS dzielą istotne różnice, a łączą obie partie pewne wspólne cele polityczne. W imię łatwiejszego osiągnięcia wspólnych celów należało zaniechać zjednoczenia, a „grać na dwóch fortepianach”. Sprzeciwiali się wstępowaniu pepeerowców do milicji, „żeby się walką z podziemiem nie kompromitować”. Wbrew intencjom władz zorganizował straż ochrony mienia złożoną wyłącznie z członków PPS, domagając się dla „jej funkcjonariuszy” broni palnej. Myślny — jak pisał ówczesny szef WUBP w Gdańsku, J. Mrozek —

naturalnym — jak wszędzie na wsi — jest ziemia.

No, są ludzie jeszcze...

2.

Czy w wiosce liczącej kilkaset mieszkańców może być establishment? W Krzęcinie jest. Naczelnik Tadeusz Uchmanowicz wylicza...

„Ale zacznijmy od samego naczelnika, który z urzędu należy do establishmentu, zaś do Krzęcina trafił śladem żony, która tu jest nauczycielką. On pracował w Drawnie, ona w Krzęcinie, więc dzieci w Choszczynie często zostawały same, a przed dziewięć laty za proponowano mu stołek krzęcińskiego naczelnika i on nie odmówił.

Nie jest naczelnikiem dojeżdżającym, choć z Choszczyna miałby tylko 12 kilometrów, i nie wchodzi się do niego przez sekretariat. Wchodzi się wprost z korytarza, więc godzinny, w których przyjmuje interesantów „z ulicy” są czystą fikcją. Przecież, jeżeli ktoś wejdzie ze sprawą i zostanie go przy biurku, to nie może usłyszeć: — Interesantów przyjmuję w godzinach takich to a takich... Gdyby usłyszał byłąby granda, czyli lekceważenie obywateli.

3.

Weźmy doktora Józefa Rombalskiego, który w Krzęcinie pracuje od 20 lat i kieruje miejscowym ośrodkiem zdrowia.

— Pasjonat — mówią o nim, bo w Krzęcinie doktor nie ma kolegi po fa-

chu, który mógłby go wesprzeć w okresie wzmrożonej zachorowalności. Przez ośrodek przewija się więc nawet po kilkadziesiąt osób dziennie, a każda trzeba zbadać, wysłuchać, uspokoić, albo nawet pocieszyć.

Doktor Rombalski kiedyś był felczerem, potem skończył Akademię Medyczną, trafił do Krzęcina, a drogą rozwoju zawodowego idzie tak wytrwale, że dziś jest nie tylko fachowcem od pediatrii, ale także od chirurgii i leczy ludzi nie tylko w krzęcińskim ośrodku, ale także w choszczęńskim szpitalu.

— O, doktor dziś jakby przekreślony przez wyżymczkę — mówi miejscowi, kiedy widzą, jak po dyżurze wraca do domu. Rombalski ma jednak sposób na to, by nie poddawać się tej wyżymczce; zna go każdy, kto był u niego w garażu. Bo w garażu doktora Rombalskiego są trofea wędkarskie, które dobrze korespondują z informacjami: „wiele niedużych jeźior” oraz „bardzo przyjemne tereny czasowo-wypoczynkowe”, zamieszczonymi pod hasłem: KRZĘCIN w „Przewodniku” Wydziału Poznańskiego.

4.

W gminie Krzęcin żyje się jednak nie z wypoczynku, ale przede wszystkim z ziemi, której jest tu czternaście tysięcy hektarów. Trochę zarasta lasem, trochę poszło pod drogi oraz osiem wsi i siedem przysiółków, w których żyje czterech i pół tysiąca mieszkańców. Na sześćdziesięciu proc. resztę gospodarują pepeerowcy, na dziesięciu spółdzielcy, na trzydziestu rolnicy indywidual-

ni, zaś średnio zbiera się tu po 36 kwintali zbóż z hektara.

Ryszard Walczak wspomina, że kiedy wyprowadzał się z Krzęcina, to Mielecin wychodził z deficytu, a przecież Mielecin jest tu nie tylko jedną z ośmiu wsi, ale przede wszystkim Państwowym Przedsiębiorstwem Gospodarki Rolnej, które ma pięć PGR-ów. Od hektarów ważniejsi są jednak ludzie, więc naczelnik Uchmanowicz wymienia Tadeusza Furmanowicza, który jest dyrektorem w Mielecinie i radnym WRN w Gorzowie, a także przedstawicieli „konkurencji” z Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych: Stefana Kulę z Objezierza, Eugeniusza Kowalczyka z Chłopowa i innych, wśród których jest także Zbigniew Staszczak, który wprawdzie nie kieruje już RSP w Sobieradzu, ale jest bratem Andrzeja Staszczaka — działacza i radnego GRN, obaj zaś są synami Tadeusza Staszczaka, który dwie kadencje temu — jeszcze w czasach szczyścińskich — był posłem i sporo dla ludzi zrobił. Generalnie jednak szczecińskich czasów nie wspomina się z leką w oku, bo wyraźny ruch do przodu zaczął się tu dopiero w czasach gorzowskich, czyli po reformie administracyjnej. Już wcześniej jednak historycy wiedzieli, że dawno temu było tu osiedle ludów kultury łużyckiej, a później osada słowiańska, zaś w kościele do dziś są zabytki z XVII i XVIII wieku.

5.

Ryszard Walczak przeniósł się z Krzęcina do Choszczyny jeszcze w szczeciń-

Sąsiad mistrza

Janusz Ampuła

SPECYFIKĘ zauważy każdy, nawet nie wysiadając z autobusu. Obok przystanku jest kiosk, trochę dalej remiza strażacka, na jej froncie zaś pełno ważnych szyldów: Gminna Rada Narodowa, Komitet Gminny PZPR, Rada Gminna PRON i jeszcze kilka. Oczywiście, te ważne ciała nie zasilają w remizie dookoła pompy strażackiej, ale tuż, tuż — z tyłu tego samego budynku. Tylko gminna administracja urzęduje oddzielnie — w małym, białym domku po drugiej stronie ulicy, którą do Choszczyna zdąża wiele pojazdów.

Tak jest w Krzęcinie.

1.

O Choszczynie wszyscy słyszeli, bo siedemsetlecie miasta Rada Państwa uświetniła orderem i gratulacjami przewodniczącego, złożonymi osobście, a dwa lata temu mieszkańcy zapracowali na tytuł Wicemistrza Gospodarczości,

zaś przed rokiem byli jeszcze lepsi i Choszczyno zostało mistrzem.

A wieś Krzęcin co?

Wystarczy trochę poszperać w papierach i Krzęcin też może zaimponować — dziewięć lat temu miał 300 mieszkańców, potem około 500, a dziś już ponad 800.

Skąd się bierze przyrost naturalny, z grubsza wiadomo każdemu, ale tu problem jest bardziej złożony.

— Eee, panie, stanoło parę sklepików, remiza i trochę „mieszkaniówek”, to ludzie nie odpływają do miasta, jak gdzie indziej — tłumaczą miejscowi i dodają, że paru ludzi z miasta nawet tu przybyło.

Ryszard Walczak ubył jednak do Choszczyna. Mieszkając w Krzęcinie miał raczej nieciekawe wrażenia, ale kiedy wyprowadził się w siedemdziesiątym trzecim roku, a potem od czasu do czasu tu zaglądał, to wioska zmieniła się na jego oczach, chociaż nie ma tu żadnego przemysłu, a jedynym bogactwem

Nie przegapiliśmy 30-lecia kinematografii w naszym piśmie. Jednakże pod koniec grudnia ukazało się tyle artykułów na ten temat, że rozsądnie było przeczytać wszystkie i zorientować się, czego nie napisano. Otóż — o ile się nie myli — nie napisano, co nas czeka w roku dziewięćdziesiątym pierwszym i latach dalszych, słowem: jaki fundament zbudowała sobie sztuka filmowa w swym pierwszym okresie i na co ma się liczyć?

Zawszą bowiem syją się zagrożenia i — trzymając się cyfr okragłych — w ostatnim dwudziestolecioleciu frekwencja w kinach na całym świecie, publikujący statystyki, spada o połowę. W tym samym czasie nie tylko narodziła się, zresztą wcześniej kielkowała, bo już Warszawa miała swoją stację telewizyjną w 1939 roku, ale i rozwinęła do przepięknych rozmiarów telewizja, początkowo traktowana przez Hollywood jako zła i podła konkurentka, potem przez Hollywood pokonana, co jednak nie zmieniło niczego, „na lepsz”, lecz przeciwnie. Bankrutujący Hollywood musiał sprzedać swe zapasy filmów telewizji, potem musiał sprzedać filmy stosunkowo szybko po ich kinowych premierach, wreszcie musiał brać do kin filmy produkowane przez telewizję!

Prawie cały świat naśladuje te bardzo złe zwyczaje. U nas TV była producentką „Brzeziń” wujów, wiele odcinających filmów telewizyjnych przeszedło w szóstkowej wersji do kin (np. „Marynia” z „Rodziny Romanowskiej”), kupujemy siabudki filmy telewizyjne NRD z przeznaczeniem do kin. Można by takie przykłady mnożyć w nieskończoność. Słowem, nastąpiło pełne wymieszanie tak przecież odległych mediów. Gdyby nie KAT (TV wioska), nie powstałby żaden z trzech ostatnich filmów filmowych. Totalny upadek i dno. Dlaczego?

Dlatego, że mimo coraz większych szklanych ekranów, uoskonaleń koloru i innych technicznych cudów, telewizja nigdy nie ogodzi kinem. Nie będzie kinem z wielu powodów, z których dwa są zasadnicze: 1) Każdy film robiony z myślą o kinie, a więc na duży ekran (niezależnie od formatu), wypada fatalnie w telewizji. Wiekokrotnie zdarzało mi się przymusowo ściągnąć wizor do kina, którzy uprzednio narzekali na fatalny film wyświetlany w TV, a potem zachwycali się tym samym filmem w naszym niezmienionej wersji. W naszym niezmienionej wersji? Rozumiecie tak, ale w TV ludzie są mali, niecałkowicie, „zobaczyć”, słowem — „szkła”, nie będąc zadowolonym, nie przypominają odcinającego świata, trudno się ich dziejami przejąć, a nawet w naszym własnym pokoju czy mieszkaniu są śmieszni. Ponadto TV ogląda się i słucha „na pół”, przy podświetlonej, w gronie osób w ciągłym ruchu, przy niespodziewanych, głośkich i przy jakim takim świetle, co rozprasza uwagę. 2) Film jest sztuką masową, przeznaczoną do oglądania na ogół w dużych lub bardzo dużych salach i do wspólnego przeżywania realnych przeżyć do nawałnicy, w salach ciemnością ogrodzonej od pozostałego świata, w której tylko ekran ciekawia dła wzroku, tylko toni płynące z głośników do ucha, nie potrzebne uwagi, ruchy, nieopatrzne wychodzenie widać, który na czas nie załatwił potrzeby fizjologicznej, jest w najwyższym stopniu irytujący, nie mówiąc już o tym, co się dzieje, gdy się przerwie film i następuje nieuzasadniona przerwa. Słowem te media, tylko pozornie podobne, różnią się diametralnie najczęściej nie w chwili powstawania, lecz w chwili oglądania programu w tak różnych warunkach.

Otóż dziś już nie ulega wątpliwości, że o ile tak czy inaczej toczyć się będą dzieła realizowane filmowo, to na pewno zniknie w najbliższym dziesięcioleciu większość istniejących jeszcze na świecie kin. Amerykanie twierdzą, że w dużych miastach pozostanie po



DZIEWIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Leon Bukowiecki

kilka do kilkunastu kin premierowych, do których będzie się niemalże tak „uczęszczać”, jak do teatru, że przestanie to być rozrywką masową pierwszych 60-70 lat XX wieku. A co się stało z resztą? Na to pytanie nie ma jeszcze jasnej odpowiedzi.

Na pewno powiększą się ekrany domowe, z całą pewnością pojawią się masowe telewizory rzutowe, które będą nadawać filmy na domowe ekrany lub białą ścianę. Zapewne w większości mieszkań budowanych w nowych domach będzie od razu odpowiednio miejsce, odpowiednio przygotowane jako „ekran”. Zmieni się też ostatecznie technika filmowa. Zarzuci się taśma, drogą i ciężką w przewoź, uoskonali wszelkiego rodzaju taśmy magnetyczne i video, zapomni się o jednokanałowym dźwięku, taka czy inna stereofonia będzie sama przez się zrozumiała i prawdopodobnie ukaze się niezawodny i idealny system trójwymiarowy, nie wymagający ani okularów, ani siedzenia „na sztywno” przez cały seans.

Jednakże największe niebezpieczeństwo dla kin nie przyszło wraz z telewizją, z „kradzionymi” filmami video, które w wielu krajach o całej lata wyprzedzają przyszłość danego filmu do kin, prawdziwe niebezpieczeństwo „spadnie nam z nieba”, i to już w 1986 roku, w postaci stacjonarnych satelitów telewizyjnych, które najpóźniej w świecie będą sobie nadawać — także nad Polską — najnowsze osiągnięcia Hollywood. I kto wtedy pojawi się „Przyspieszenie” Reedy, „Piętno” Czekaj czy „Nieciekawą historię” Hase — cytuję filmy, których absolutnie nie nie łączy i z których tylko ostatni jest ciekawy i wartościowy dziełem sztuki. Pewne jest, że żaden z tych trzech nie miałby powodzenia nawet bez telewizji satelitarnej. Słowem, o ile w sposobie wyświetlania TV oraz w sposobie odbioru, który musiałby przypominać kino, nie nadejdą znaczne usprawnienia techniczne i społeczne, np. sala z dużym ekranem w każdym „bloku” z powodzeniem zastępująca kino, to pewien gatunek „cywilizacji kinowej”, kina dla mas, najtańszej rozrywki, pojdzie w niepamięć.

Choć zlotowa była przed wojną silna (przypominam: najsłabszą monetą w Europie), to jednak kina na periferiach za 10 i najwyżej 15 groszy były nieskończenie tanie niż nasze kina dzisiaj. Zapewne więc kina premie rowe, które — według przewidywań Amerykanów — jednak się utrzymają, będą bardzo drogie i w wielu wypadkach dostępne tylko dla elit (finansowanych), co wcale nie pokrywa się z elitą umysłową kraju.

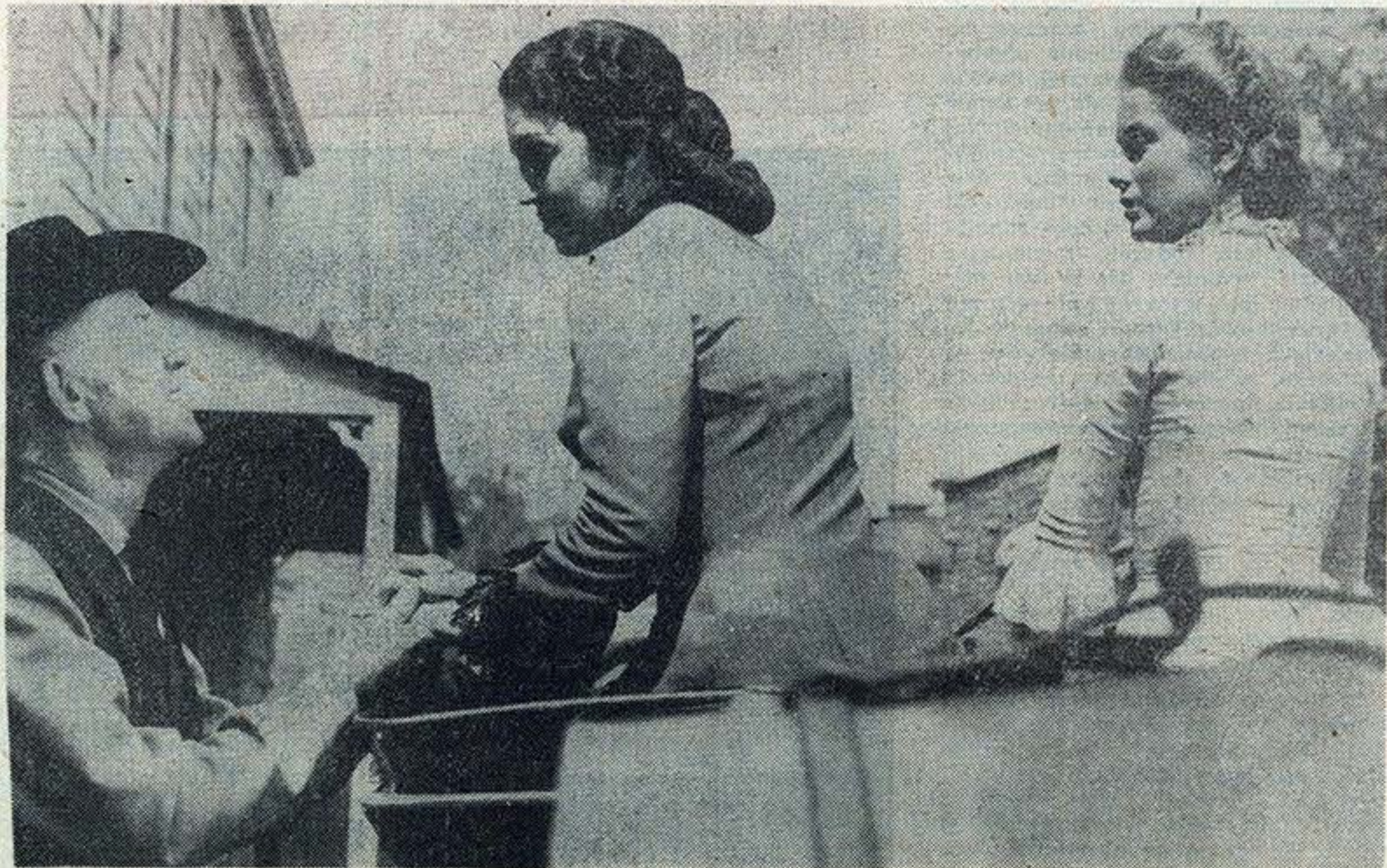
Ponieważ już dzisiaj, z wyjątkiem największych krajów o najliczniejszej ludności (Chiny, Indie, ZSRR, USA, Japonia) nigdzie produkcja filmowa nie opłaca i wszędzie państwo łoży potężne sumy na to, aby utrzymać narodowe kinematografie: kredyty dla producentów, ulgi podatkowe, wysokie premie, kinematografia od dawna nie jest „złotym jabłkiem”, dającym 500 proc. zysku na czysto. Jak długo państwa nie ogro potwornie zadłużonej będą ceniący fundować sobie filmy, co do których z góry wiadomo, że co najmniej 2/3 poniesie ciężką finansową, a owa 1/3 będzie na pograniczu dochodowości lub oarado dochodowa — nie pokryje strat? Czy państwa te będą nadal podtrzymywać prestiż, wysyłając swe czołowe lub uważane za takie dzieła na festiwale? A dalej, czy państwa organizujące festiwale zechcą uokładać wielomilionowe sumy, aby utrzymać gości festiwalowych, co przy dzisiejszych cenach hoteli tworzy astronomiczne wyprosi sumy? Może przecież nadejdzie dzień, w którym na przykład prezydent Mitterrand (zlikwidował uroczyste festiwale paryskie, bo przynosił milion franków deficytu, a w swych czterech latach istnienia nie sprzedał dostatecznej ilości fil-

arczydziej o wiele więcej (francuski „Me czenstwo Joanny d'Arc” i ostatnie lata niemie ZSRR ze „Strajkiem”, „Panicznikiem Potiomkinem”, „Starym i nowym”, „Matką”, „Koncem Sankt Petersburga”, „Burzą nad Azją”). Ten „rozpęd” trwał jeszcze wiele lat, a sezon filmowy 1937/38 zalicza się do najwybitniejszych na świecie.

Nie twierdzą, że kino załamało się całkowicie, ale dzisiaj panuje w większości krajów albo postać za pieniążem (Spielberg) albo postać za „oryginalnością” („Hiroshima moja miłość”, „Imy Godarda, u nas Krolkiewicz”, na węgrecz przytaczająca większość filmów Jansco, które mają „opłacać” trestną i formą, nie trafiającą zaogą mian do szerokiej widowni, tak jak do niej nie trafia ani Picasso ani Strawiński. Jednakże jest jedna wielka różnica; wszystkie inne sztuki, z wyjątkiem architektury, są stosunkowo tanie: wy magają kawałka papieru i piora, albo płótna i farby, i gąbby nawet farby były piramidalnie drogie, obraz nie będzie kosztował nawet 1/1000 ceny produkcji filmu i nie doprowadzi do bankructwa malarza, a nie wydana książka pisarza.

pierwszym roku kontynuowała swe znikanie!

Powstać dzisiaj na świecie mniej więcej połowa ilości filmów realizowanych w szczytowych latach czterdziestych i to mimo znacznego pomnożenia krajów produkujących (w samej Europie nie znana była w zasadzie produkcja filmowa w Rumunii, Jugosławii, Bułgarii). Na świecie około 50 nowych lub odrodzonych po kolonializmie państw zaczęło produkcję po 1-5 filmów rocznie, podczas gdy w tym czasie Japonia spada z 500 do 250 filmów, Indie podobnie, USA z 800 do około 300, a w niektórych innych krajach utrzymuje się sztucznie produkcję około 130 filmów rocznie, którą to twórczość w 50 proc. finansuje państwo. Jak długo, jeśli się okaże, że kinematografia w swej potężnej produkcyjno-kinowej formie nikomu nie będzie potrzebna? W to miejsce powstaną „quick-pictures” dla TV satelitarnej „domowej”, zaniknie tak popularny przed laty zwyczaj „chodzenia do kina”, aby doznać zbro-



Gary Cooper, Katy Jurado i Grace Kelly w westernie Zinnemanna „W samo południe”, który zarazem uszlachetnił western i był pierwszym sygnałem agonii gatunku

mów na cały świat, aby ten deficyt z nawiązką pokryć zlikwiduje także Cannes, a kto inny Wenecję czy San Sebastian. Wtedy zawęzi się bardzo forum spotkań filmowych, znikną nagrody — może poza „Oskarem” i innymi narodowymi — znacznie opadnie zainteresowanie filmem i — co tu ukrywać — ku temu idziemy.

Nie sposób przecież nie zdawać sobie sprawy z tego, że pod koniec kinematografii niemal jak z rogu obfitości powstawały arcydzieła: w USA („Szkarałata litera”, „Wielka parada”, „Symfonia zmysłów”, „Złoto”, „Wiatr”, „Samotność”), w Niemczech („Faust”, „Nosferatu”), „Gabinet dra Caligari”, „Zatrzacona ulica”, „Puszka Pandory”, „Portier z hotelu Atlantic”, „Metropolis”, „Variete”), we Francji („Oskarżam”, „Suka”, „Eldorado”), „Włoski kapelusze słomkowy”, „Uśmiechnięta pani Baudet”, „Teresa Raquin”) i wiele innych, wymieniam tylko te filmy, które przysły mi na myśl, podczas gdy było tych

W kapitalizmie film, który się w krótkim czasie nie zwróci, jest nieważny, a twórca może w zasadzie iść na „złotą trawę”, zwłaszcza jeśli wyblagana „rehabilitacja” także się nie uda. Tragiczny los Orsona Wellesa jest tu najlepszym przykładem; gdyby nie ogromny majątek z domu, Welles po „kłapie”, „Obywatela Kane” musiałby się ograniczyć wyłącznie do aktorstwa i nie powstałyby takie filmy, jak „Do tyk zła” czy „Falstaff”, nie mówiąc już o „Otelu”. W socjalizmie nie pieniądze są najważniejsze, ale także kinematografia nie ma prawa tonąć w deficycie, a przy dzisiejszych cenach czegośkolwiek, zrealizowanie filmu, który by miał szansę zwrócenia wkładów na własnym rynku, jest niepodobniństwem. Ilekć więcej powodów istnieje, aby kine-

matografia w swym dziewięćdziesiątym rowych wrażeń: wystraszyć się lub zabawić, popłakać lub roześmiać się.

Chyba „Love story” był lądędzimą śpiewem zbiorowego płaczu w kinie, a kiedy zesła z ekranu ostatnia „crazy comedy”? Od kiedy było to „nieme kino” Brooks, a kiedy ostatni film „nie samowity”, ostatni rewiowy? Pojawili się w to miejsce „opowieści filozoficzne” a „la Rohmer”, Wenders lub Zanu ssi, eskapiczące, oderwane od życia, nie skoordynowane dziwolagi skutecznie odstraszające widzów.

Kinematografia zabrnęła w ślepią uliczkę. Powrotem do „Dam Kameliowych” nie ma, a na końcu tunelu, w który od lat coraz szybciej wjeżdżamy, nie widać jeszcze światła.

skich czasach, więc tutejsze przemiany oglądał sporadycznie, a taksówkarz na trasie ze Strzelca Krajeńskich pokazał mi:

— O, tu kiedyś była granica szczyńskiego-zielonogorska, na skraju tego lasu. A drogi, panie, jakie wtedy były — po żał się Boże! Leśny bruk, a nie droga. Ten asfalt położyli już w gorzowskich granicach...

Naczelnik Uchmanowicz twierdził jednak, że najważniejsi są ludzie, więc żeby nie uciekali z Krzęcina — powiedział, jak Walczak — potrzebne są przede wszystkim mieszkania. I na nich się skoncentrowano.

Walczak wspomina: — Kiedy tam przyjeżdżałem, ruszyło indywidualne budownictwo jednorodzinne, budownictwo zakładowe i powstało osiedle PGR-u, pobudowano mieszkania dla nauczycieli, nawet kort tenisowy zrobiono, bo miało to być osiedle typu miejskiego. Ośrodek zdrowia zbudowano trochę wcześniej, później go zmodernizowano. Pobudowano też remizę strażacką, przy której znalazły siedzibę różne władze. Do tego: asfalt, chodniki, oświetlenie...

Krzęciński cud rozwojowy?

6.

Cudu nie było, a przykładem szkoła. Miała być piękna, przestronna, z salą gimnastyczną, nawet z basenem, a stawać ją miało Nadodrzańskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego z Polic, a policcy budowlani wybra

li te okolice jako bazę wypoczynku własnych dzieci.

— Przez dziesięć miesięcy będzie szkoła, a przez dwa ośrodek kolonijny, więc wilk będzie syty, a i owca cała — kalkulowano sobie.

Żeby „ugryźć” kawałek lasu, który zarastał teren pod przyszłą placówkę, potrzebny był wilk z naprawdę ostrymi zębami. Policjo-krzęciński ostrzył sobie zęby, ostrzył, aż przyszedł rok 1975 i przyniósł reformę administracji. Policie zostały w woj. szczecińskim, Krzęcin trafił do gorzowskiego, więc sprawa upadła i dzisiejszy wyz demograficzny chodzą z zmianą do starej szkoły, przesiadując w niej do zmroku, a to przecież nie jest cud, lecz dość zwyczajna sytuacja w obecnych czasach. Krzęcinianie chcą ją możliwie szybko zmienić, więc korzystają z każdej nadarzającej się okazji. Akcentowali potrzebę nowej szkoły przed wyborami do rad narodowych, podkreślali na spotkaniach przed wyborami sejmowymi i bardzo liczą na zrozumienie.

7.

Siedem przysiółków, siem wsi, a wśród nich Krzęcin, który miał być agro-ośrodkiem w czasach, kiedy takie terminy były modne.

Czy kiedyś będzie miasteczkiem? Głupie pytanie. Tak głupie, jak prze konanie, że w miastach żyje się lepiej, bo przecież żyje się różnie. Jednak w Krzęcinie wyrosło osiedle bloków, zupełnie takie jak w mieście, wiejskie drogi pokryto asfaltem, obok położono

chodniki, sklepy zgrupowano w mini-ciąg handlowy, a na narożnych domach zawieszono tablice z nazwami ulic — jak w „mieście”. Tylko władza przy remizie kocha się ze starym, wiejskim stereotypem, bo w mieście remiz nie zauważa się. Zostawmy jednak stereotypy, však istota sprawy tkwi w tym, by ludziom żyło się i pracowało dobrze.

A jak się żyje?

Tego nie widać z okien przelotowego autobusu, potrzeba dalszych zmian jednak narasta. Najpierw wykuwa się w głowach, potem jest zapisywana na zebraniu, wnoszona do planu, realizowana przy udziale czynów społecznych...

8.

Obywatelskie wnioski i postulaty Ta deusz Uchmanowicz ma w jednej tecce. Przeglądamy.

— Przedszkole typu „Bonin”...

— Dokumentacja już jest, realizację trzeba zacząć w przyszłym roku, a skończyć jak najprędzej, bo „zerówka” prze niesiona do niego ulżyłaby szkole...

— Budowa urządzeń kanalizacyjnych...

— Sprawa na czasie, bo akurat PGR robi oczyszczalnię, więc można by podłączyć do niej ścieki z bloków, z domków jednorodzinnych, ze wsi, z restauracji, ze szkoły...

— Modernizacja wiejskiej świetlicy...

— Trzeba ją tak przemysleć, żeby w perspektywie uwzględnić prawdziwy Dom Kultury — z salą kinową, szatnią, zapleczem, nawet z małą kawiarenką. Może PGR pomoże...

— Chłopowo...

— Tu świetlica nabiera już kształtów domu kultury. Mają być dwie sale z zapleczem, biblioteka, pomieszczenie dla Kół Gospodyń Wiejskich.

— Remont świetlicy w Nowym Klukomiu...

— 200 metrów drogi w Słonicach...

— 500 metrów ulicy w Granowie...

— Oświetlenie w Rzeńsku i Nowym Klukomiu...

— Kanalizacja burzowa dla Rzeńska...

— Raków — też kanalizacja burzowa i jeszcze chodniki...

— Krzęcin — klub dla młodzieży i dom przedpogrzebowy na cmentarzu, chodnik przy drodze do osiedla, centra la telefoniczna...

— Dużo spraw w tecce, dużo pragnień w sercach i dużo pomysłów w głowach. Cena rozwoju, awansu...

9.

Naczelnik zamyka teczkę i jest zmęczony.

— To już dziewięć lat...

A przecież nie jest leciwy, blisko czterdziestki, ma wyższe wykształcenie rolnicze i rolniczą gminę. Bez przemysłu, z turystyką na „bardzo przyjemnych terenach” czasowo-wypoczynkowych” w perspektywie.

Zamyśla się. Nie jest pewny, czy to się nadaje do druku, ale...

— Kiedy nieraz człowiek wróci do domu po objeździe terenu, po paru spotkaniach, po podjęciu paru trudnych de-

cyzji, to wieczorem zastanawia się, czy wszystko zrobił dobrze, czy we wszystkich sprawach poszedł we właściwym kierunku. Może inaczej byłoby lepiej? A dwanaście kilometrów dalej Ryszard Walczak, który przyniósł się do Choszczyna, mówi: Mnie Krzęcin bardzo się podoba. Tego typu wioski w naszej części kraju często tracą na znaczeniu, mają małe szanse rozwoju, jednak Krzęcin staje na nogi. Pamiętam, kiedyś był tam bruk, wioska była zaniedbana, Gminna Rada Narodowa miała być zlikwidowana. Niedalekie Suliszewo padło, a oni trzymają się, idą do przodu.

x

Z okien autobusu, którym przez Krzęcin jedzie się do mistrzowskiego Choszczyna, tego ruchu do przodu nie widać zbyt wyraźnie. Ot, wioska — kiosk przy przystanku, biały domek po lewej i tylko remiza z sztydamy różnych instytucji, która jest po prawej, budzi za zainteresowanie. Jednak nie szłyby się li cza, lecz ludzie, których na początku lat siedemdziesiątych było tu trzysta, a u progu osiemdziesiątych już pięćset, a dziś jest ponad osiemset.

— Dlaczego ta wieś się rozwija? Może promieniuje sąsiad, Mistrz Gospodar ności, więc w Krzęcinie chcą błyszczeć w cieniu Mistrza?

A może po prostu rozum nakazuje...

JANUSZ AMPUŁA

22 stycznia br., na przejściu granicznym w Olszynie, celnicy znaleźli w ciężarówce z darami prezent o szczególnej wartości i znaczeniu.

Drugie takie odkrycie miało miejsce już po kilku dniach, 1 lutego.

Kierowca polskiego TIR-a nie przewidywał, jaki finał będzie miał jego powrót z Francji do Polski. Zgodnie z międzynarodowymi umowami przyjął on zlecenie na przewiezienie ok. 18 ton darów przekazanych w ramach pomocy charytatywnej dla naszego kraju. Ofiarodawcą była Misja Ewangelicka — „Zielony Dom” z siedzibą przy ulicy Marcadet, w Paryżu. Na adresata przeżył obrano Komisję Charytatywną Episkopatu Polskiego — Duszpasterstwo Ludzi Pracy a konkretnie jeden z kościołów w Warszawie.

W trakcie załadunku nie szczególnie nie zwrócił uwagi kierowca, może tylko aktywność mężczyzny mówiącego łamaną polszczyzną.

Celnicy mają dość ambiwalentny stosunek do darów z Zachodu. W tej odpowiedzialnej pracy każda ciężarówka z „pomocą charytatywną” (tego określenia używają w jakiś szczególny sposób; z przekąsem, ironią; nadając mu dodatkowego znaczenia), oznacza dla nich zmnożenie wysiłku o granic możliwości kadrowych. Dziennie przybywa kilka ciężarówek z darami. Prawie żadna nie wjeżdża do Polski bez sprawozdania jej rzeczywistej zawartości. Najczęściej zawierają one przedmioty codziennego użytku: dykamenty i żywność. Zapewne niejednego Polaka zdziwiłaby ciężarówka z pomocą charytatywną dla jego rodaków zawierająca chleb czy ziemniaki. Ale te dary mają zupełnie inną wymowę i nie są przedmiotem szczególnej troski celników. Na przejściach granicznych z kierunku zachodniego, zupełnie inne przedmioty mobilizują pracowników służb celnych. W samej Olszynie wykrywano już wśród darów radiostacje antysocjalistyczną literaturę (miedzy innymi w języku rosyjskim), i ostatnio, sprzęt poligraficzny.

Celnicy nie posiadają specjalnie wypracowanych metod wykrywania przemytu. Towar z ciężarówki trzeba po prostu wyładować, przejrzeć i załadować ponownie.

22 stycznia wysiłek żołnierzy WOP i celników nie poszedł na marne — wśród wielu przedmiotów codziennej użyteczności znalazł dwie koparki i powielacz. Przejęty przez celników sprzęt jest bardzo dobrej światowej marki. Załączono do niego instrukcję obsługi w języku francuskim, z odręcznymi dopiskami w języku polskim i 1150, matryce metalizowanych. Na każdej takiej matrycy można wydrukować

25 tys. stron tekstu. Wśród „darów” znalazłono też kilkanaście sztuk części zamiennych, które nie znajdują zastosowania w żadnym z wykrytych urządzeń. Czyżby uzupełnienie wcześniejszej przesyłki?

Transport z darami kierowany był na adres kościoła, do którego już wcześniej kierowano pomoc charytatywną z Zachodu.

Czym chciano uszczęśliwić Polaków, poza sprzętem poligraficznym? Przesyłka zawierała pewne ilości cukru, odcień w różnym stanie — od względnie dobrze wyglądających, używanych ubrań do brudnych szmat które kiedyś były ubraniami — zniszczone obuwie, używane zabawki, sporo środków uspokajających i preparatów antydepresyjnych.

Interesujące, jak te antydepresyjne leki mają się do sprzętu poligraficznego?

Wartość sprzętu poligraficznego jest wielomilionowa i znacznie przekracza wartość reszty ładunku.

Dnia 1 lutego na przejściu granicznym w Olszynie zameldowało się siedem samochodów z darami. W zaledwie tydzień po udarmieniu próby przemytu z Francji, w polskim samochodzie wiozącym dary z RFN-u wykryto kolejną przesyłkę. Tym razem „dar” nie był tak bogaty jak poprzednio. Anonimowy miłośnik słowa drukowanego przesyłał ręczny powielacz z papierem maszynowym i płynem do powielania. I tym razem polski kierowca przyjął

obowiązujące zlecenie na przewóz darów. Nadawcą była katolicka parafia w Niemczech Zachodnich, adresatem parafianie z diecezji Winogrody w Poznaniu. Przesyłkę ładowano w czterech niemieckich miastach: Kirchheim unter Teck, Badewaldsee, Ravensburg i Kressbronn. Powielacz załadowano prawdopodobnie w tym ostatnim.

Niemal cały załadunek stanowiło wyposażenie szpitalne; prawdopodobnie ze zlikwidowanych lub remontowanych szpitali. Szpitalne łóżka, materace, szafki, wanny i brodziki, były już mocno zniszczone. Poza tym ładunek zawierał 19 starych opon, odzież i obuwie, stare garnki i bandaż. Z powielaczem już kłopotów nie będzie, ale z resztą darów będą najprawdopodobniej problemy.

Kamieniem pasującym do tej mozaiki będzie informacja uzyskana od mieszkańca Gądkowa Wielkiego. Mężczyzna ten znalazł niedawno w lesie balon z korespondencją od „ziomków” z Niemiec Zachodnich. Treść listu jest krótka: „ziomkowie” tęsknią, a jeśli znalazł ca listu też tęskni — oczywiście za nimi — to niech nawiąże z nimi korespondencję.

Dlaczego ten trzeci fakt pasuje do dwóch pozostałych? — Biuro „Solidarności” w Brukseli przygotowuje Polaków do przyjęcia narodzin demokracji w Polsce. Świadczy o tym wiele deklaracji i dokumentów, a także wypowiedzi pracowników (i nie tylko) tego biura na Zachodzie. Podstawą rzeczywistej demokracji będzie normalizacja stosunków międzynarodowych, w praktyce — według zawodowych opozycjonistów — oznacza wysiedlenie Polaków z Ziemi Zachodnich i Północnych. „Ziomkowie” na początek (!) niczego innego nie pragną. Jest to problem dla polityków i psychiatrów i oby nie stał się rzeczywistym problemem nas wszystkich. W tej chwili emocje budzą same dary. Dyskusje wokół tego tematu są jakby mniejsze, ale problem ciągle istnieje.

Czy rzeczywiste od przybytku głowa nie boli?

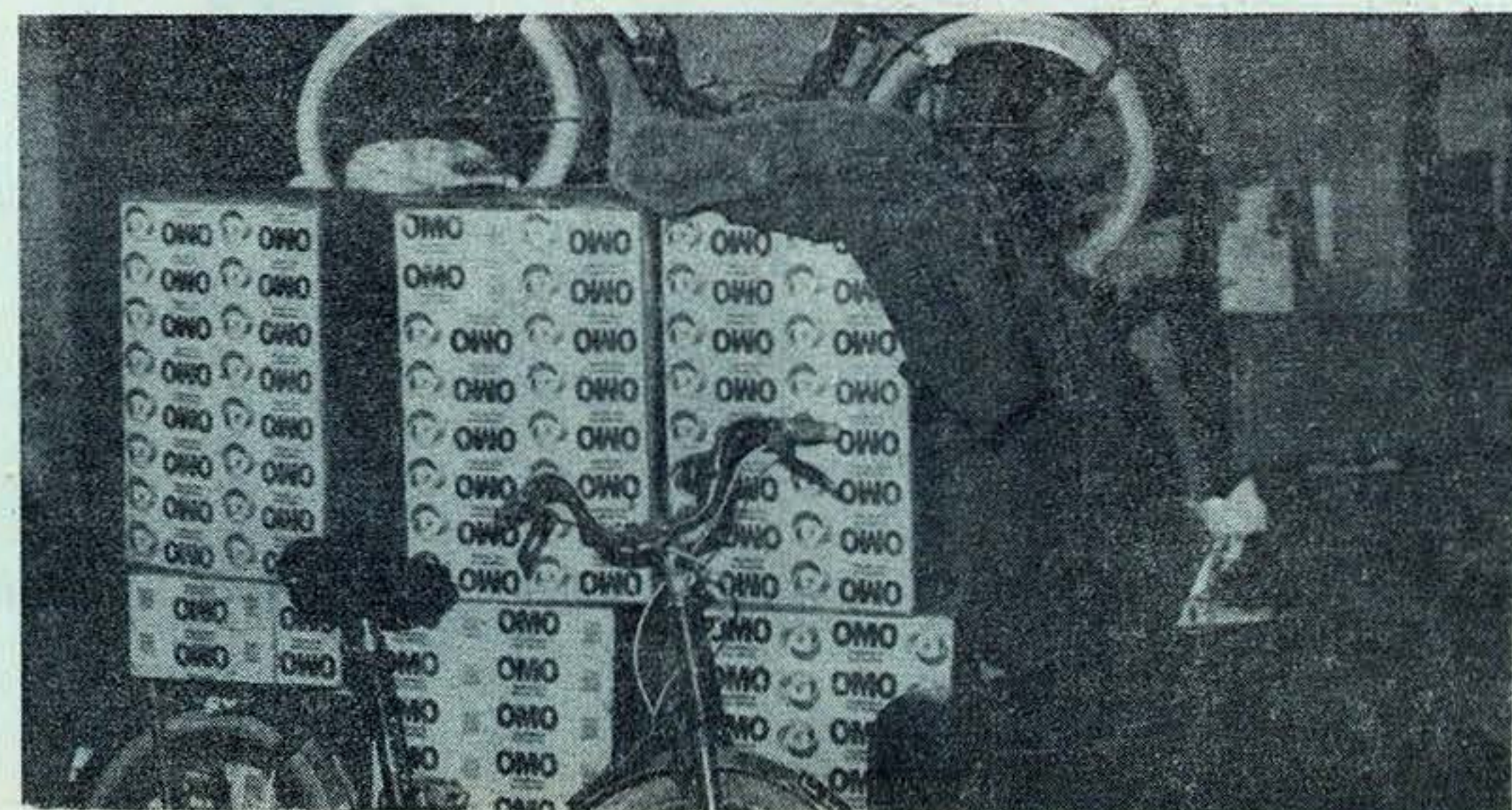
Należy docenić indywidualny i zbiorowy trud obywateli innych państw starających się użyć Polakom w kłopotach codzienności. Był rzeczywiste czas, że w sklepach brakowało nawet octu, a mleko było reglamentowane. Obecnie sytuacja uległa znacznej poprawie. Zachodnia propaganda gra na uczuciach swoich obywateli i stąd dochodzi do nieporozumień z transportami chleba, ziemniaków, cukru i innych artykułów dostępnych na polskim rynku. Istnieje jeszcze zapotrzebowanie na niektóre leki i aparaturę medyczną, ale tej sytuacji nie zlikwidują spontaniczne akcje obywateli państw zachodnich. Ktoś wreszcie musi powiedzieć że w Polsce, w naprawdę złych warunkach, żyje tylko odsetek ludzi. Tym ludziom są w stanie pomóc krajowe organizacje społeczne Kościół rzymsko-katolicki, który ubogim nie jest, a pomoc biednym należy do jego rzeczywistych zadań wynikających z dogmatów wiary chrześcijańskiej.

Jeśli zaś chodzi o wykryte próby przemytu, to należy sądzić że na tym nie koniec. Przeciwnicy zmieniają metody próbując nowych: szukają „łatwych kanałów” przerzutowych i takich środków. Trzeba przyznać, że sprzęt poligraficzny takiej klasy, jak ten z Olszyny może służyć długo i dobrze. Sad rozstrzygnie, jakie instytucje zostaną przekazane do urzędzenia.

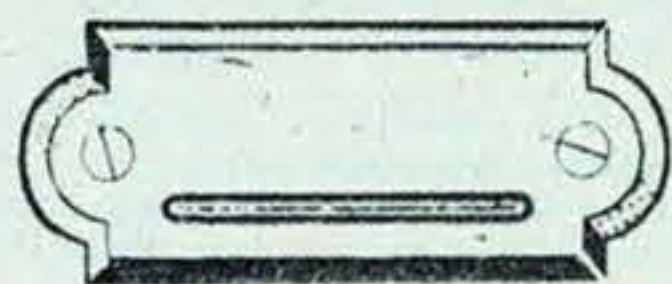
Fot.: CZ. LUNIEWICZ

PIOTR PIOTROWSKI

pozdrowienia od herostatesa



... emocje budzą same dary. Dyskusje wokół tematu są jakby mniejsze, ale problem ciągle istnieje



Krajobraz po hucie

„Wizyta ministra Stefana Jarzębskiego poza ustalaniem, że Legnickie otrzyma wsparcie z centralnego Funduszu Ochrony Środowiska nie zaowocowała decyzjami i konkretnymi wnioskami. Jednak przeprowadzone przy jej okazji rozmowy, przedstawione dane pozwalają na ważne stwierdzenie, że coraz więcej w dyskusji o ochronie środowiska konkretnych informacji, problemów technicznych, technologicznych, finansowych, projektowych. Mniej jakby sloganów i obszernych programów. A więc wreszcie chronimy?” Tak pisały o wizycie w Legnicy minister ministra ochrony środowiska i zasobów naturalnych lokalne „Konkrety”. No właśnie — chronimy?

Miasto Głogów leży nad ściekiem wodnym, noszącym od lat nazwę Odry. Niektórzy do dzisiaj utrzymują, że jest to rzeka, czego dowodem mają być żyjące w niej ryby. Ze słuchą fenolem i można się nimi zatruć? Mieszkańcy Nadodrza wiedzą o tym doskonale od dawna i nikogo to już nie dziwi. Przyzwyczaili się? Nie, Odra rzeka na dalszy plan — ekologicznym problemem numer jeden jest huta miedzi.

Przyglądając się sprawie z wysokości biurka osób odpowiedzialnych za ochronę środowiska można dojść do wniosku, że wszystko jest w porządku. Huta sobie spokojnie dymi, bo jest otoczona strefą ochronną, sięgającą aż do granic administracyjnych miasta. Szkopuł w tym, że nikt do dzisiaj nie pofatygował się ustalić zasięgu strefy

bezpośredniego oddziaływania zanieczyszczeń. Na co dzień utożsamia się z nią strefą ochronną (!), a nie obszar za groźbą ekologiczną. Nic dziwnego, że postronny obserwator dowiedziawszy się, iż „Głogów leży poza strefą ochronną huty” czuje się usatysfakcjonowany.

— Dzisiaj wiecie od huty i trochę pa. Zobaczyć pan, jak wszystko osiadł, to kałuże będą żółte — miejscowy takśownik, jak każdy przedstawiciel tego zawodu, jest dobrze poinformowany. Chętnie tłumaczy mi, jak wygląda karozeria samochodowa poddana długotrwałemu działaniu związków siarki. Ale to wcale nie jest jego największym zmartwieniem — od blisko dziesięciu lat nie mogą się z żoną doczekać potomstwa. Co gorsza lekarze nie potrafią wskazać żadnych przyczyn natury fizjologicznej, kiedyś zalecili zmianę miejsca zamieszkania, więc dla „taryfiarza” wniosek jest jeden — huta.

— Coś w tym musi być, skoro niektóre kobiety wyjeżdżają z Głogowa, żeby urodzić dzieciaka w innym mieście. Bez przyczyny by tego nie robiły.

A przyczyna jest. O tym, że usytuowana o kilka kilometrów od centrum huta truje, wie w Głogowie każde dziecko. Ale jest to tajemnica publiczna, gdyż oficjalne dane są przeciwnemu śmiertelnikowi niedostępne i to z dwóch powodów. Po pierwsze, dane na temat skażeń i zanieczyszczeń są niezbyt chętnie publikowane, po wtóre, na wet gdyby ktoś je chciał opublikować, to nie zrobi tego, bo do dzisiaj nie ma całorocznego obrazu „działalności” huty. Dowiedziałem się tego od osób kompetentnych w głogowskim Urzędzie Miejskim i nie mam powodów, by nie wierzyć, choć przychodzi mi to z trudem.

Natomiast głogowianki wierzą bez zastrzeżeń we wszystkie informacje na temat zanieczyszczeń — nawet te absurdalne, „bo skoro się o tym nie pisało, to musi być prawda”. A potem klerowane troską o zdrowie przyszłego

potomstwa wyjeżdżają rodzice gdzie indziej, co wzięwszy pod uwagę długotrwały rozwój płodu w mieście nad Odrą, jest tylko symbolicznym gestem.

— Ale to dopiero początek mocnych wrażeń. W wydziale ochrony środowiska otrzymałem informację, że obowiązujące w Polsce normy dopuszczalnych zanieczyszczeń kwasem siarkowym są z reguły przekraczane w Głogowie — od trzech do pięciu razy. Cza sem zdarza się, że i więcej. Czy na pewno nie odbija się to na zdrowiu mieszkańców?

Legnicki lekarz wojewódzki twierdzi, że nie. Przytacza na potwierdzenie swej tezy wyniki badań przeprowadzonych przez wrocławski DOLMED. Otóż, po przeprowadzeniu kompleksowych badań mieszkańców z terenów oddziaływania hut w Głogowie i Legnicy oraz grupy porównawczej ze Ścinawy — „nie stwierdzono różnic statystycznie znamiennej”. W praktyce oznacza to niewielkie, niemal nieodczuwalne pogorszenie stanu zdrowia, czyli wszystko jest w porządku.

Jednakże wystarczy opuścić Urząd Wojewódzki, by sto metrów dalej od wojewódzkiego lekarza weterynarii dowiedzieć się, że mleko krów spod Głogowa może zawierać sporo substancji toksycznych. Więc jak to jest — bydlętom huta niszczy wątrobę, a ludziom nie?

Jest jeszcze jeden aspekt sprawy wstydliwie (?) do tej pory przemleczany. Chodzi o uprawy rolne i ogrodnictwo z terenów zanieczyszczonych przez hutę. W niektórych przypadkach rośliny nie tyle obumierają, co kumulują w swoich komórkach toksyny. Związki siarki wypalają chłopskie — rolnicy dostają odszkodowania, znacznie gorzej przedstawia się sprawa ogrodników działkowych. Każdy, kto wie, ile dodatkowych „witamin” zawierają gło-gowskie marchewki, czy buraki, nie będzie ich rzecz jasna spożywał, ale żaden przepis prawny nie zabroni mu odsprzedawać bliźnim uszlachetnione oliwem warzywa. Precedens już był. Przed kilkoma laty zakazano rolnikom gospodarującym w pobliżu huty produkować buraki cukrowe. Niestety, zakaz wkrótce cofnięto.

Brak konsekwencji widać także w innych działaniach związanych z ochroną środowiska. Doskonałym tego przykładem było sprzedawanie przez hutę terenów, za które w niedługim czasie rolnicy brali odszkodowania. Jeden z rolników opowiadał mi o polu sąsiada wypalonym przez siarkę co najmniej w

takim samym stopniu, jak jego zagony. Mój rozmówca dostał odszkodowanie, sąsiad nie, bo pola dzieli rów będący granicą strefy, w której wypłaca się odszkodowanie.

Symptomatyczne dla całego problemu ochrony środowiska było często dawane mi w Głogowie pytanie: — Po co o tym pisać, czy to coś zmieni?

Rzeczywiście, o ile pisanie krytycznych tekstów o problemach ekologicznych może być utrzymane w konwencji realizmu, to pisanie o krajowych osiągnięciach w dziedzinie zwalczania zanieczyszczeń zakrawa na twórczość science — fiction. Autorów najciekawszych publikacji powinno się wsadzać na konia, dawać do ręki kopie i wysyłać na wiatrak. Natomiast wydawnictwa prasowe i szefowie pism, wzmrem telewizyjnych „Victorów”, winni nagradzać publicystów „Don Kichotami”.

Oczywiście nie można popadać w skrajności. Utrzymanie stałej produkcji w hucie, a nawet jej zwiększenie jest dla kraju bardzo pożądane. Zachodzi jednak pytanie, czy nie płacimy zbyt wysokiej ceny za eksportowaną z Polski miedź? Chodzi o to, by pogodzić interesy huty z interesami mieszkańców Głogowa — na dobrą sprawę najwięcej zanieczyszczeń wchłaniają właśnie pracownicy huty.

Środowiska naturalnego nie uratują notatki prasowe i najwspanialsze obietnice „zrobienia wszystkiego by szybko ograniczyć szkodliwy wpływ hut”. Pan minister był i pojechał sobie. Kolejna wizyta „nie zaowocowała decyzjami i konkretnymi wnioskami”.

Ryby przyzwyczaiły się do życia w zatrutej Odrze. Czy ludzie muszą pójść w ich ślady...?

DARIUSZ JAN MIKUS



Rys. STEFAN SŁOCKI

Na stole wszystko wygląda dokładnie tak jak przed czterema laty, kiedy się pobrali; białoniebieski serwis z angielskiej porcelany, kieliszki z czeskiego kryształu, półmiski o uchwytych z kości słoniowej, srebrne solniczki, cynowe karafki z oliwą i octem, wszystko jak w owych odległych już dniach. Są też takie same różnice w wazonie z zielonego szkła; ta sama serwetka i te same czerwone serwetki z białymi haftami; a nawet taki sam promień słońca, który wpadając z okna przez okno, polyskuje w porcelanie, srebrach, kryształach. Ale, jednocześnie, wszystko jest zmienione, głęboko zmienione. Do tego stopnia, że wydaje mu się w tym momencie, iż on sam jest raczej zjawą ze wspomnień, a nie żywą osobą z krwią i kością. Wynika to ze zmian, które spowodowały, że między nim a jego żoną wszystko układa się teraz inaczej niż cztery lata temu. I oto, w istocie, zaczyna na nowo cicha i dyskretna, przez co jeszcze boleśniej dyskusja dotycząca faktu, że żona już od ponad roku wzbrania się przed miłosnymi stosunkami. Żona odpowiada mu z dziwną sio-

trzydziestym rokiem życia, wysoka blondynka, niezupełnie szczupła, może nią być, szczególnie widziana od tyłu i z daleka. I tak zakorzenia się w nim wciąż coraz głębiej przekonanie, że żona, owszem umierała, ale w jakiś sposób, przez reinkarnację, zmartwychwstała, zastąpienie mogłoby się „znowu pojawić”. Pewnego dnia, on spojrzył w twarz jakiejś kobiety i wykrzyknął: „Ale ty jesteś Tonia”. A ona odpowiedziała: „Tak, to ja, dlaczegoż nie miałabym nią być”. „Ale ty jesteś zjawą”. „Nie, skądże. Dotknij mnie, pogłasz, jestem Tonia z krwi i kości”.

Naturalnie nie umyka mu chorobliwy charakter tych przewidywań. Co jakiś czas myśli: „Zaczynam wariować. Jeśli tak pójdzie dalej, odnajdę ją na pewno. Ale w tej samej chwili będę musiał przyznać, że jestem szaleńcem, który wierzy we własne halucynacje”. Ten strach przed szaleństwem nie przeszkadza mu jednak mieć nadal nadzieję na odnalezienie żony. A wręcz daje nadzieję posmak wyzwania. Tak, odnajdzie ją właśnie dlatego, że jest niemożliwe, by ją odnalazł.

Kobieta w czarnej pelerynie

Alberto Moravia

dziać; tak, kocha go; tak, wie, że on ją kocha; tak, była między nimi doskonała zgodność fizyczna; tak, zgodność ta mogłaby powrócić; ale, przynajmniej na razie ona nie czuje się na siłach. Dlatego? Bez powodu, nie ma żadnego „ponieważ”, jest tak i koniec.

W tym momencie kucharka wnosi drugie danie: kurczaka po marokańsku. Jest to potrawa, która w pewnym sensie łączy się z ich intymnością; poznali ją w Maroku, gdzie wybrali się w podróż poślubną. Kurczak według przepisu powinien być podzielony na małe kawałki i duszony na wolnym ogniu z dodatkiem kilku kilogramów cytryn i dużej ilości oliwek, tak żeby mięso przesiąknęło słonym smakiem oliwek i cierpką cytryną.

Kucharka podsuwa półmisek najpierw żonie, potem jemu; nakładają sobie, potem zaczynają jeść z pochylonymi głowami, kontynuując dyskusję. Początek nagle jak błyskawica, dzieje się coś nieprzewidzianego. Żona wydaje zduszony okrzyk, podnosi rękę do gardła, stara się z wysiłkiem odkaślnąć, potem zrywa się, zrzucając na ziemię serwetkę, zmiatając ręką talerz i nakrycia, i zaczyna biec przez mieszkanie, a on za nią, nie jeszcze nie rozumiejąc.

Biegnie, wpada do sypialni, rzuca się na łóżko z dłońmi wokół szyi. Nieprzewidziane – to mała, ostra kostka kurczaka, która wbiła jej się w gardło. Ale przeciwieństwo nieprzewidzianego, co on nagle, biegnąc za nią, może już przewidzieć z absolutną pewnością, dochodzi do skutku wkrótce potem w szpitalnym pogotowiu ratunkowym, gdzie, w istocie, żona umiera bez, jak się mówi w podobnych przypadkach, odzyskania przytomności.

Po śmierci żony on pozostaje w ich domu, robiąc zwyczajowe rzeczy: chodzi codziennie do swojej pracowni architektonicznej, wraca do domu na posiłki, wychodzi wieczorami z przyjaciółmi, itp., itp. Ale śpi sam, wychodzi sam, jada sam, nikt nie żegna go rano, kiedy wychodzi do pracy, nikt nie wita wieczorem, kiedy z niej wraca. Samotność mu ciąży, ponieważ jest to samotność tymczasowa, którą zabija się w towarzystwie. Jest to samotność nieuleczalna; jedyną osobą, która mogłaby położyć jej kres, nie żyje. Tak więc pozostał sam, zastanawiając się cały czas, co wypada mu czynić, czy porzucić definitywnie myśl o zmarłej żonie, czy też rozpamiętywać, pograżając się w wolną w żalobie, jak w czarnej wodzie. Na koniec górę bierze drugi plan.

Zaczyna się więc dla niego okres ponury, a jednocześnie w niejasny sposób, zmysłowy. Rozpacz po stracie żony wyraża się w mnożeniu rytualnych zachowań, takich jak kontemplowanie ubrań wiszących w szafach; albo dotykanie jeden po drugim jej przyborów toaletowych; lub też, bardziej wymyślnie, patrzenie „jej oczami” przez okno sypialni na aleję, przy której stoi ich dom. Te rytualne akty pozwalają mu pokonać fazę fetyszystycznych umizgów, a doprowadzają go do zachcianek halucynacyjnych: nastawia w ciszy ucha, mając niemal nadzieję, że usłyszy głos żony, rozmawiającej z kucharką; albo też w nocy, gdy się kładzie, wierzy prawie, że widzi ją już w łóżku, jak czyta oparta o poduszki.

Niepostrzeżenie oczekiwaniu na „pojawienie się” żony narasta, staje się oczekiwaniem na jej „powrót”. Ludzi się, że żona zadzwoni do drzwi; a on idzie otworzyć, a ona stoi przed nim i mówi, że zapomniała klucze od domu; zawsze zapomniała daty, przedmioty, wydarzenia. Albo, że zadzwoni z lotniska, prosząc, aby po nią przyjechał; miała zwyczaj nie uprzedzać go wcześniej o dniu i godzinie powrotu z podróży. Albo jeszcze prościej, znajduje ją w salonie, słuchając muzyki; robiła tak, oczekując jego powrotu z pracowni na obiad.

W końcu, po idej „powrotu”, poczyną w nim kiełkować koncepcja „odnalezienia”. Zaczyna krążyć po ulicach, wchodzić do budynków publicznych, odwiedzać salony w niejasnej nadziei „odnalezienia jej”. Tak, nagle ona tam będzie, naprzeciw niego, w trakcie robienia czegoś normalnego, najzwyklejszego, jak ktoś kto był tam zawsze nawet jeśli z normalnych i zwykłych powodów przez jakiś czas się nie pojawiała. Tak więc, wyobraża sobie na przykład, że znajduje ją obok siebie w wazonie metra, jadąc na plac Hiszpański po sprawunki.

Ta faza odnalezienia trwa dłużej niż faza „powrotu”, a wręcz wydaje się nie mieć końca. Bo przecież „powraca” się tylko przy szczególnych okazjach: tymczasem „odnalezonym” można być w każdym momencie i w każdym miejscu. Praktycznie każda kobieta między dwudziestym a

W końcu, aby rozproszyć tę ponurą atmosferę, postanawia zmienić powietrze, udać się na Capri. Jest listopad, martwy sezon; na wyspie nie ma nikogo, będzie pozostawiony swoim wspomnieniom, swej rozpacz. Będzie spacerował, marzył, rozmyślał. Jednym słowem odpocznie i postara się odzyskać energię strawną bólem. Bo właściwie, może jego obsesja jest tylko kwestią nerwów, rozstroju fizycznego.

Tak więc wyjeżdża na Capri, gdzie, jak przewidywał, znajduje samotność: prawie wszystkie hotele i restauracje są zamknięte; żadnego turysty, tylko miejscowi. Samotność ta różni się jednak od samotności rzymskiej. W Rzymie był z konieczności; tutaj będzie z wyboru. Zaczyna natychmiast prowadzić bardzo regularny tryb życia: wstaje późno, idzie na pierwszy spacer, je obiad w hotelu, idzie na drugi popołudniowy spacer, wraca do pokoju, czyta, je kolację, po czym ogląda telewizję w pustym niemal salonie hotelowym. Po zakończeniu programu idzie do łóżka.

Pomimo tej regularności, rozpacz po utracie żony nie ustępuje; przybiera tylko inny wykład. Tak jakby śmierć odebrała temu rodzajowi wspomnień charakter erotyczny; zaczyna coraz częściej przypominać sobie precyzyjnie i obiektywnie epizody z czasu, kiedy on i żona utrzymywali jeszcze stosunki miłosne. Obrazy owe nie różnią się od tych, jakie przywołuje się w wieku młodzieńczym i które kończą się często masturbacją; ale on poprzestaje na upajaniu się widokiem żony „w akcji”, nie dodając ze swej strony żadnego fizycznego uczestnictwa. Poza wszystkim obawia się popaść w rodzaj nekrofilii: w wieku młodzieńczym, kobiety, których wspomnienie doprowadzało go do masturbacji, były żywe; masturbacja była niczym innym jak urojonym przedłużeniem normalnego stosunku. Ale do czego mogło doprowadzić masturbowanie się dla zmarłej, jeśli nie do owej chorobliwej nierealności, przed którą chciał uciec, przyjeżdżając na Capri?

Jeden nade wszystko epizod ze szczęśliwego okresu, kiedy on i żona kochali się, powraca w jego pamięci. Żona i on spotkali się przypadkowo w pewnego wiosennego poranka na ulicy, przy której jest wiele eleganckich sklepów. Żona szła w sweterka, on w płaszcz gramofonowej. Coś decydującego nastąpiło w momencie, kiedy się rozpozнали zaskoczeni i zadowoleni z przypadkowego spotkania; coś, co pod postacią spojrzenia pełnego pożądania, wyszło z oczu żony i wcielowoło bezpośrednio w środek jego zrenia, tak jak strzała wypuszczona z ręcznej i pewnie celuje i trafia w środek tarczy. On powiedział natychmiast: „Chcesz, żebyśmy się kochali?”. Żona, jak by niezdoła przemówić, przytaknęła głową. „Chcesz iść do domu?”. Ku memu zdumieniu, odpowiedziała szeptem: „Nie, chcę to zrobić natychmiast”. „Natychmiast, ale gdzie?”. „Nie wiem, natychmiast”. Rozejrzał się dookoła: poza sklepami było przy tej ulicy wiele hoteli, najlepszych w mieście. Powiedział więc: „Jeśli chcesz, możemy pójść do hotelu. Wątpię jednak, czy dadzą nam pokój, widząc, że przychodzimy bez bagażu. Ale prawda, moglibyśmy kupić walizkę...”. Ona popatrzyła na niego przeciągle, po czym powiedziała: „Nie, żadnych hoteli, chodź ze mną”. Wzięła go za rękę, weszła bez wahania w pierwszą bramę, na którą się natknęli, ruszyła prosto do windy: wydawało się, że wie doskonale, dokąd idzie. Wsiadł do windy, a ona wyjaśniła: „Prawie zawsze na ostatnim piętrze nie ma drzwi, tylko wyjście na taras. Jeśli będzie otwarte, zrobimy to tam. Jeśli nie, na schodach i tak nikt nie przyjdzie”. Jeśli nie, patrząc na niego, odwrócona plecami, stojąc twarzą do drzwi. On przysunął się i wówczas żona wyciągnęła rękę do tyłu, chwyciła i ścisnęła silnie jego ołonek. Winda zatrzymała się: wyszli na podest i stwierdzili, że wyjście na taras jest zamknięte; wówczas żona wycedziła przez zęby: „Zrobimy to tutaj”. Zobaczył, że pochyla się nad balustradą, chwytając jedną ręką za poręcz, a drugą wyciąga do tyłu, aby zarzucić płaszcz na plecy. W półmroku korytarza pojawiły się postadki, bardzo białe, owalne, pełne, napięte i błyszczące; on zbliżył się i mimo że miał bardzo silną i pewną erekcję, chciał upewnić się, że wejdzie za pierwszym razem. Tak więc pochylł się, aż do miejsca, gdzie mógł dostrzec poprzec tylny otwór, pomiędzy jasnymi, kędzierzawymi włosami, krętą różową szparą prowadzącą do pochwy. Dwie duże wargi były jeszcze sklejone ze sobą, jakby uśpione lub obumarte; on wyciągnął rękę i rozchylił je delikatnie dwoma palcami, podobne do płatków kwiatu gotowych rozkwitnąć. Ukazało mu się wówczas wnętrze, jaskraworó-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

owe i błyszczące wilgocią, złożone z warstw, podobne do bezkształtnej, nieobrzeżonej rany, która wciąga się głęboko w ciało. Czy był to narząd kobiety, czy też cięcie ostrego noża? Spojrzenie to pozostawiło mu poczucie nieodwracalnego odkrycia, nagłego w owej chwili i zarazem powolnego w skutkach; po raz pierwszy widział jej narząd płciowy, tak wyraźnie i dokładnie; do owego dnia kochał się zawsze w łóżku, objęci, ciało przy ciele, patrząc sobie w oczy. Wszystko to trwało chwilę, po czym zaczęła poruszać biodrami, pochylona do przodu, z rękami na poręczach.

Teraz ten rozarty i bezkształtny narząd, krwawy i błyszczący niczym rana, powraca często w jego pamięci jako coś tak żywego, iż wydaje mu się niemożliwe, aby uległ rozkładowi w głębi grobu. Przeczytał, nie pamięta już gdzie, że pierwszą częścią ciała, która się rozkłada, to śmieci, są genitalia; i cały jego umysł wzdraga się ze zgrozy na tę myśl. Nie, nie chce wyobrazić sobie narządu żony, jakim jest teraz, ale jakim go widział owego ranka, tam, na poddaszu domu przy via Veneto, wiecznie żywym i przetrwałym.

Zysli tej rodzi się stopniowo inna. Być może nie spotka już żony, choć nie można tego całkowicie wykluczyć; ale na pewno, w najbliższych dniach, ujrzy jej narząd płciowy, identyczny. Wystarczy, mówiąc sobie, znaleźć jakąś blondynkę, pomiędzy dwudziestką a trzydziestką, kształtną, ale nie tęga, o bardzo białych, owalnych pośladkach. Zostaną kochankami; pewnego dnia poprosi ją, żeby stanęła przy poręczach, pochylała się do przodu i zarzuciła ubranie na plecy. Wówczas rozchyli dwoma palcami, pomiędzy pośladkami, warstwy dwóch płatków kwiatu i zaniem wejdzie, ukaże mu się ponownie przez chwilę, przed oczami nieobrzeżo-

na rana. Wszystko stanie się proste i łatwe; nie będzie to już rezultat ponurej obsesji, lecz skutek silnego odnalezienia. To przecież, podczas gdy niemożliwe jest zastąpienie twarzy, narządy płciowe, jeśli pewne szczegóły są podobne, mogą być w zasadzie wymienne.

Tak, podsumowuje w końcu swoje rozważania, zaczęł na ulicy, tu na Capri, pierwszą napotkaną blondynkę i przekona ją, żeby oddała mu się w dokładnie taki sam sposób, jak to zrobiła jego żona owego poranka w Rzymie, w kamienicy przy via Veneto. I tak, teraz, choć nie daje sobie z tego sprawy, tęsknota za żoną przeistoczyła się niedostrzeżalnie w tęsknotę za czymś, co miała ona wspólnego z tyloma innymi kobietami w jej wieku i o jej budowie.

Zauważa naturalnie, że ta przemiana tęsknoty za konkretną osobą w obsesję fetyszystyczną na punkcie jednej części ciała tej osoby, otwiera drogę dla początków zapomnienia, pocieszenia, zastąpienia; kobieta identyczna z jego żoną prawdopodobnie nie istnieje; ale narząd płciowy podobny do jej narządu łatwo znaleźć. Pociesza się więc, myśląc, że w gruncie rzeczy, dziwaczne zredukowanie umarłej do narządu może także oznaczać przemienienie jej w tajemniczy i fascynujący symbol kobiecości. Za życia żona była rozpoznawalna, niezastąpiona, jedyna, teraz staje się się emblematyczna. Podziwiając jej narząd, podziwia coś, co wykracza daleko poza osobę; coś, czego żona, dopóki żyła, była jedynie depozytariuszką; ale, co z kolei inne kobiety są teraz w stanie mu zaoferować.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Od redakcji: Opowiadanie znakomitego włoskiego pisarza publikujemy za pośrednictwem „Literatury” nr 11 z 1985 r., w przekładzie Anny Gombóskiej.

Jerzy Przybecki

Mgła

Przezroczystą nicią
Drobnym deszczem tkana
Zaciągnęła miękką ścianą
Gdzieś niedaleko
Słychać psa wołanie
Odezwie się jeszcze
Głosem wrony albo kruka
Furtka na słowo otwierana
Mlecznym szalem uwieczona
Już dawno dzień pożegnała
W ciszy tylko ona
Mgła
Delikatnie o parapet dzwoni
Do drzwi puka

Codziennosc

Słowo
Wiarą rośnie
Droga
Nie zawsze twarzą stoi
Bat
Gorącym daniem syci
Deszcz
Twarz skruchy ujawnia
Światło
Nocą ciepło śpiewa
Woda
Rosą znaczy życie
A człowiek
Ma bliźny

Muzyka

Cisze morza
Struna niesie
Obraz górski
Spada z duszy gitary
Warkocze słaczem
Radością załamania
Woła w wietrze
Gra na trawie
Na gładkiej nucie melodii
Wśród wysp na morzu
W gęstym słońca drzeniu



JÓZEF BURLEWICZ

Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze należy do jednych z pierwszych i dotąd nielicznych polskich placówek muzealnych, w których kolekcja polskiego malarstwa współczesnego prezentowana jest w galeriach autorskich. W kilku najbliższych numerach „Nadodrza” przedstawimy Czytelnikom autorów prac zgromadzonych w zielonogórskich galeriach. Na parterze gmachu głównego Muzeum znajduje się Galeria Józefa Burlewicza, artysty malarza na stałe mieszkającego w Zielonej Górze, laureata Nagrody Ministra Kultury i Sztuki za twórczość plastyczną.

Józef Burlewicz urodził się w roku 1938, studiował na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Po ukończeniu studiów w 1963 r. osiedlił się w Zielonej Górze. Przez wiele lat był prezesem Zarządu Zielonogórskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków, współorganizatorem wystaw i sympozjów „Złote Grono”, dorocznego przeglądu twórczości artystów lubuskich w ramach „Salonów Je siennych”, współinicjatorem polsko-radzieckich plenerów malarskich, komisarzem licznych wystaw plastycznych. Działacz partyjny i członek wielu komisji. Brał udział w wystawach „Złote

go Grona”, zdobywając medale i nagrody. Uczestniczył w wystawach krajowych. Prace jego znajdują się w zbiorach prywatnych i muzealnych w kraju i za granicą. W 1971 r. otrzymał Lubuską Nagrodę Kulturalną, w 1975 r. Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry.

O swojej twórczości artysta powiedział: Muszę przyznać, że moim marzeniem jest uoy to, co robię, także ludzi niepokoiło i aby ugdy przy moich obrazach nie popadali w drzemkę. Nie chcę tego osiągnąć za wszelką cenę. Do Jana Muszyńskiego: Ty sam kiedyś powiedziałeś, że to, co do tego czasu robiłem, było moralne, że to co teraz robię, mimo tylu niepokojów, mimo tylu sprzecznich uczuć, jest także moralne. Chciałbym, najbardziej tego pragnę, aby tylko ta ocena pozostała na zawsze związana z moim działaniem i z potrzebą mojego serca.

Tadeusz Sojka w wierszu „Malarstwo Józefa Burlewicza” pisze: pozostałe 2 dawnych miast / kilka czaszek / w tej wysypujesz w ranę wielką / ziemi naszej / bo nie w tym jest rzeczy sens / że ktoś kiedyś spalił Rzym / że dom Diany w gruzach leży / że Bastylię rozbił tłum / i nie w tym jest zmagania / że by lawować ostrą kontur / by przelatać barwy dwie / by na siłę szukać mostów / w płótno białe / barwę ostrą jak po oczach / gdy się wie / co sół ziemi / problem gdzie / Zaś Henryk Szykkin, autor zafascynowany malarstwem J. Burlewicza, stworzył poemat „Galeria Niepokoju”, z którego wybrałmy fragment: Spójrzcie na ziemię — oto tłum tyranów / zrzuca przesiąkniętą bratnią pobrętkiwaniem klucza / Tak rośnie pejzaż poplątanych znaków — / coraz mniej wiary w atomową ład / więcej ludzi z wyciągniętą ręką /.

Józef Burlewicz malarstwo uprawia tak — jak myśli.

AS

Spór o taktykę

Ujrzały światło dzienne wyniki badań naukowych docenta Tadeusza Biernacka — pracownika naukowego Instytutu Historii zielonogórskiej WSP, który zajmuje się od wielu już lat problematyką historii Związku Radzieckiego oraz ruchem komunistycznym na Ukrainie w latach 1918-1939. Autor długi czas pracował naukowo w Związku Radzieckim, gdzie też miał dostęp do wielu archiwów państwowych.

W 1983 r. Wydawnictwo WSP opublikowało pierwszą książkę T. Biernacka pt. „Działalność parlamentarna Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy w latach 1924-1927”. Została ona utworzona w 1919 r. w Stanisławowie i stanowiła integralną część Komunistycznej Partii Polski. Prowadziła walkę o wyzwolenie społeczne i narodowe, o połączenie Zachodniej Ukrainy z Ukrainą Radziecką.

Bazę źródłową do opracowanego tematu stanowiły dla autora dokumenty i materiały z archiwów państwowych i partyjnych ZSRR i PRL (w tym m. in. archiwalia Centralnego Partyjnego Archiwum Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR i Centralnego Archiwum KC PZPR oraz dokumenty pochodzące ze zbiorów archiwów państwowych Zachodniej Ukrainy).

Biernacki starał się ukazać w pierwszej pracy, w jakim stopniu doświadczenie KPZR, wynikające z działalności tej frakcji parlamentu bolszewików, wykorzystane zostały przez KPP i KPZU w ich działalności sejmowej. Wyodręb-

nił i omówił następujące zagadnienia: stosunek partii komunistycznej do parlamentu, miejsce i rolę działalności parlamentarnej w walce klasowej proletariatu, taktykę partii w okresie kampanii wyborczej, relacje między partią a frakcją parlamentarną oraz naczelne zasady działalności frakcji (KPZU) w ramach KPP.

Druga książka Biernacka ukazała się w 1985 r. (również nakładem Wydawnictwa WSP) i dotyczy działalności Komunistycznej Partii Galicji Wschodniej, a w szczególności jej stanowiska wobec wyborów do Sejmu i Senatu w listopadzie 1922 r. (W rok później partia ta przyjęła nazwę Komunistycznej Partii Ukrainy Zachodniej).

Według autora, „działalność parlamentarna partii zaczyna się w chwili podjęcia przez nią decyzji o wzięciu udziału lub o bojkocie wyborów do ciał ustawodawczych czy samorządowych. Partia w okresie kampanii wyborczej stosuje odpowiednią taktykę. Taktyka ta zależy nie tylko od zasadniczych założeń programowych partii, ale również i od celu, który stawia przed sobą w określonych warunkach historycznych”.

Problem parlamentaryzmu stanowił jedną z kontrowersji dotyczących sposobów i form walki klasowej proletariatu. Licząc na względnie łatwe (a takie nie było) zwycięstwo rewolucji socjalistycznej w krajach kapitalistycznych, w okresie światowego kryzysu systemu kapitalistycznego i wzmożenie się fali rewolucyjnej, partie komunistyczne odrzucały parlamentaryzm, bojkotowały wybory do instytucji samorządowych i ustawodawczych państw burżuazyjnych. Lenin określił to zjawisko jako „dziecięcą chorobę lewicowości w komunizmie”.

W okresie omawianym przez T. Biernacka Komunistyczna Partia Galicji Wschodniej starała się przyswajać teorię marksizmu-leninizmu, opanować zasady leninowskiej nauki o walce klasowej za pomocą legalnych i nielegalnych sposobów, preferować „zdrowe zasady” działalności parlamentarnej w walce rewolucyjnej. Taktyka tej partii w okresie wyborów z 1922 r. wywolała

gorące spory w środowisku jej członków, doprowadzając do ostrych tarć i walki wewnątrzpartyjnej. I o tym pisze autor.

W okresie wyborów do Sejmu i Senatu w 1922 r. działalność KPGW przebiegała w trudnych warunkach politycznych. Wprowadzenie w Galicji Wschodniej stanu wyjątkowego, reżimowa polityka administracji państwowej, wspierana przez wojsko i policję uniemożliwiała wykorzystanie przez KPGW nawet minimalnych swobód obywatelskich przewidzianych Konstytucją. Organy administracji państwowej tłumili wszelkie przejawy ruchu narodowyzwolenczego. Ostrze tych represji skierowane było przeciwko klasie robotniczej i jej partii komunistycznej.

Burżuazja zaś i obszarnicy polscy starali się umacniać więź i współpracę z ukraińskimi kołami burżuazyjno-obszarnymi. Jednak większość przedstawicieli klas posiadających Galicji Wschodniej i ich partii występowały przeciwko polskiej państwowości. Nawoływali społeczeństwo ukraińskie poprzez m.in. oświadczenia, ulotki i instrukcje poufne do bojkotu wyborów polskiego parlamentu. Umacniali w świadomości Ukraińców idee nacjonalizmu.

Brak jednoci w szeregach KPGW doprowadził ją w okresie wyborów do poważnego kryzysu wewnątrzorganizacyjnego. Istnienie w jej łonie dwóch ugrupowań — KPGW oficjalnej i KPGW opozycyjnej nie pozwoliło partii na opracowanie jednolitej taktyki podczas wyborów do Sejmu i Senatu. Dwa odłamki partii zajmowały diametralnie odmienne stanowiska wobec wyborów. Opozycja dążyła do powstania zbrojnego, oderwania Galicji od Polski i przyłączenia jej do Ukrainy Radzieckiej. Po zostały opowiedzieli się za przynależnością tych terenów do Polski. I taki stan rzeczy miał miejsce do 1939 r.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Tadeusz Biernacki: Spór o taktykę. Komunistyczna Partia Galicji Wschodniej wobec wyborów do Sejmu i Senatu w listopadzie 1922 roku. Zielona Góra 1985. Wyd. WSP. Nakład 250+80 egz. Stron 135. Cena zł 125.



POSIĄĆ CUDZĄ DUSZĘ

Wśród lirycznych zwierzeń Niny Pawłowskiej w jej ostatnim tomiku możemy przeczytać następujące słowa:

„Nie jestem sumieniem
Najwyżej wyrzutem sumienia
Czasami westchnieniem
Nad niezrozumiałem” (...).

Wyznanie to prawie magicznie zakreśla krąg poetyckiego oddziaływania i ludzkiej niemocy. Podmiot wierszy ma poczucie swej niepełności, nie mylić z brakiem wartości — i próbuje uściślić własne miejsce, by osąd był wyważony i prawdziwy:

Nie jestem ja
Bez której nie można żyć”.

Wiedziałem tej poezji, chętnie oddającą się zabawom w budowanie stanów

zadumy czy radości (wiersze „List”, „Przecież”, „Halo! Joanno!”) jest świadomości kruchości swego własnego losu i jednocześnie silne odczucie codziennych strachów, bólow, utrapień. Pawłowska ma nas lirycznie, nieco egzaltowaną szatą, próbując ukryć smutek i szarość. Nie dajmy się zwieść — zbyt dużo w tych wierszach życzeń wobec życia niż zachwytu nad jego urodą, np.: „Nie ranić” — kwiatów, traw, ptaków — kwitnąć, tańczyć, fruwać; nawet koszt pewnego komfortu psychicznego:

„Być numerem statystycznym
Bez aureoli nad głową”.

Do tego smutku przyłącza się nawet płacz kamienia, tak bowiem jego kamienne życie przypomina ludzką egzystencję („Druga Galatea”). Kilkakrotnie zresztą autorka korzysta z motywu kamienia. Służy on głównie wyeksponowaniu silnego podmiotu, utożsamianego i z opoką, i z ruchem. Towarzyszy temu sadyzm — obraz duszenia, wbijania paznokci, zabijania. Również skamieniała Galatea ożywa, by śpiewać pieśń o swej kamiennej, zimnej niemocy. Dlatego zadziwia otwartość tej liryki, rzekomo, obojętnej — a jednak wołającej: „Powiedz co się stało”. „Przyjdź do mnie”. „Droga kochana Moja”. „Czy pamiętasz tamten wiersz”. „Będziemy kiedyś”.

Zbiór wierszy Niny Pawłowskiej to rzeczywistość „Ja po raz drugi”, ale z obecnością innych ludzi. Poetka coraz częściej mówi TY oraz MY. Najpełniej owo wychodzenie na zewnątrz obrazuje wiersz „Samotność” — o zmierzniętym nie na rynku niebawem pojawiają się następne książki tego autora, Paweł Wiktorowski: trzy książki w wydawnictwie MON, Tadeusz Kajan wystawił w teatrze w Gnieźnie dwa utwory teatralne — „Chrobre pieśni” i „Święty dług i puste miejsce”, Wojciech Czerniawski: świetny tom prozy „Katedra w Kolonii”. Tyle suche wyliczenie. Wiersze zielonogórskich autorów (a także opowiadań) drukowała ogólnopolska prasa literacka. Poeci i pisarze byli nagradzani w konkursach literackich. Uczestniczyli w obradach jury różnych imprez literackich i kulturalnych.

Trzeba też cieszyć się, że w oficynie LTK (nareszcie!) ukazały się tomiki debiutantów młodych poetów: Anny Kwaśniewskiej, Ryszarda Jonaczka, Kaliksta Kucharskiego, Doroty Muszyńskiej i Zbigniewa Jelineka. To bardzo cieszy. Ponadto wydaje się być krzepiące i to, że w sytuacji, gdy zewsząd słyszy się narzekania na obiektywne trudności, ktoś ma dobrą wolę, umie otwarcie myśleć i realizować twórcze pomysły, choć by miały skromny wymiar. Myślę tu o arkuszach poetycko-plastycznych, wydawanych przez Muzeum Ziemi Lubuskiej. Jest przecież ta idea w naszym środowisku czymś bardzo ważnym. Doświadczenie to jest inspirujące dla poetów jak i malarzy. Arkusze wydali: Koniusz, Szykkin, Suzanowicz, Sobkowiak. A w perspektywie są arkusze Warszawy, Morawskiego, Mystkowskiego, Sojki i Lipszycyńskiego.

Nie jest też chyba bez znaczenia, że zielonogórscy pisarze byli współorganizatorami, w maju 1984 roku, wspólnie z WSP,

nym abstrakcjach, pozamienianych zmysłach i romantycznym choć brutalnym marzeniu o cudzej, drugiej duszy:

„Wtedy
Kiedy samotność
Nabiera kształtów rzeczywistych
I można ręką
Schwytać ją za włosy
Wtedy
Kiedy oczy z orbit wychodzą
Napatrzyć się nie mogąc
Sciskam pomiędzy palcami
Chmurę
Wtedy
Kiedy samotność
Palcami dotyka moich powiek
I mówi — usnij
Nie mogę
i czując pod paznokciami
Cierpką smak
Twojej skóry
Chciałabym posiąść
Jeszcze jedną
Duszę”.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Nina Pawłowska: Ja po raz drugi. Biblioteka Literacka Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Gorzów Wielkopolski 1985, s. 22, cena 40 zł.



TE LATA NIE SĄ STRACONE

Niedawno w środowisku literackim o ostatnich kilku latach ktoś powiedział, że nie były stracone. Myślę, że jest pewna doza racji w powyższym stwierdzeniu.

Zgoda. Jest to zielonogórskie środowisko małe. Przez wiele lat jakoś nie mogło liczebnie się rozrósnać. Pisarze stąd zawsze raczej wyjeżdżali aniżeli przybywali. Widocznie klimat twórczy akurat był taki, że wielu z tych, którzy tworzyli tutaj, którzy dokładali wia-

sną cegiełkę do dzieła rozwoju literatury i kultury, wołało obrać inne miasta. I może jest nawet naturalne, że tak się dzieje. Zastanawia mnie jednak, żeby nie powiedzieć: boli, to iż z taką łatwością się o tym publicznie mówi. Bo przecież, owszem, każdy ma prawo zamieszkać tam, gdzie może mu być lepiej, ale jeśli wyjeżdża poeta, pisarz, malarz, to jest w tym coś — powiedziałbym nawet — dramatycznego. To przecież poprzez ich dzieła, naszą współczesność, będą odczytywać, osądzać przyszłe pokolenia. Myślę, że trzeba nauczyć się ocenić, trzeba nauczyć się być dumnym z każdego wiersza, obrazu, recenzji, spektaklu teatralnego. A często jest niestety tak, że o pisarzu, o twórcy mówi się pogardliwie, próbując go ośmieszyć lub zignorować, nawet jeśli jego wysiłek twórczy stanowi wartość w skali ogólnopolskiej.

Te lata, ostatnie lata, nie są stracone. Tak ktoś powiedział. Były to lata, i dla artysty, pod wieloma względami bardzo trudne. Okazuje się jednak, że wola tworzenia nie wygasa nigdy. Jest tożsama z moralnością wewnętrzną twórcy.

Pisarze zielonogórskiego obszaru wydali — uważam — sporą ilość książek, o których, patrząc oczywiście nie z recenzenckiego punktu widzenia, można z całą pewnością powiedzieć, że są wartościowe, potrzebne. Po prostu, obok rzeczywistości materialnej, społecz-

nej, potrzebna jest nam również rzeczywistość artystyczna. W naszych regionalnych warunkach trzeba pamiętać, że na twórczość artystyczną pisarz może sobie najczęściej pozwolić dopiero po pracy zawodowej. A trzeba wtedy niezwykłego samozaparcia, żeby jeszcze wytrwać wieczorem przy karcie papieru, umieć oderwać się od kłopotów zawodowych, mieć siłę skupić wrażliwość i wyobraźnię w linijce wiersza lub w kół losów bonatera. A jednak, mimo tej sytuacji, książki powstają i będą powstawać. Myślę zresztą nie tylko o twórcach, będących w ZLP. Myślę o wszystkich, którzy poruszają się na szlaku twórczości. Za cenę można uznać, że ukazało się, lub że jeszcze się ukazuje sporo książek przede wszystkim, stosunkowo młodych autorów. Lata się demizuje były pod tym względem bardzo „cudne”, na co suznie utyskiwał niegdyś Zenon Łukaszewicz.

Ostatnio książki wydali: Zbigniew Rynak: „Czarne anioły” (Czytelnik), przygotowane do druku w LTK również tom prozy, Michał Kaziów: powieść autobiograficzną „Gdy moim oczym” (Czytelnik), zaś w LSW ukazało się tom jego opowiadań, Henryk Szykkin w Wilnie wydał po litewsku tom wierszy „Sanokos mozaikos”. Wałdemar Mystkowski: tom poezji „Tresce o romansu prowincjonalnego” i w najbliższym czasie ukazuje się następny tom wierszy, a także książka prozatorska, Zbigniew Jelinek: powieść „Dział ogólny” a w najbliższym czasie wyda dwa zbiorki wierszy, Alfred Siatecki: tom prozy „Piaszczysta ziemia” — rów-

LISTY

W sprawie — „Strych jak twierdza”

Redaktor Piotr Piotrowski potrafi ująć za serce swoich czytelników i jeśli umiemy, ta będzie sła w parze z rzetelnością — może stać się zarysem niezłego dziennikarstwa. W artykule „Strych jak twierdza” zagrał na uczuciach czytelników jak wirtuoz. Przepis, którego użył nie jest może odkrywczy, ale za to pewny. Składa się nań: młode małżeństwo z dzieckiem, bezduszni lokatorzy i tacy sami urzędnicy. W związku z tym, że sprawa „twierdzy” znana jest dość dobrze wielu osobom, a sposób jej ujęcia przez autora przypisuje mi prywatę i nieuczciwość postawienia sprawy, domagać się wniesienia sprawy i skorzystania z prawa do repliki na łamach macierzystego pisma redaktora P.P. Bezkompromisowość to cecha godna szacunku, szczególnie wtedy, gdy przychodzi pisać o znajomych, ale prawdziwie. Pisanie na zamówienie, bez względu na fakty, nie przynosi autorowi w chwały. Redaktor P.P. mieszka około 300 metrów od miejsca opisanego przez siebie akcji, zabrakło mu jednak czasu aby wysłuchać opinii ludzi, o których rzekomo pieniał. Wiele pisał. Być może odrzucił go atmosfera linu, tak barwnie przedstawiona w opowieści inwestora — panująca w budynku przy ul. Zakręt. Redaktor P.P. przeoczył także publikację zamieszczoną na łamach „Gazety Lubuskiej” z dn. 24.01.1986 r. na temat wyników kontroli NIK, przeprowadzonej także (wskutek skarg lokatorów) w budynku przy ul. Zakręt. Kontrolerzy stwierdzili m.in. dokonanie samowoli budowlanej przez Jacka K. Redaktor P.P. pisze o nasyłaniu kontroli — wiedział zatem, że miały one miejsce. Z powodów, których w swojej publikacji nie ujawnia nie zechciał się jednak zapoznać z ich wynikami.

Wątek Ryszarda A. zajmuje w relacji inwestora i autora wiele miejsca. Makiażowicz R. A. mieszka przy ul. Zakręt, skąd się petycje, nasyła kontroli i poza tym obraża Jacka K. Jest przy tym działaczem PRON. Ja też mieszkam w opisanym budynku i jestem jedynym wśród lokatorów członkiem PRON. Redaktor P. P. wspomina o liście skierowanym do RM PRON przez inwestora. Istotnie Jacek K. skarżył się na mnie. Na czele komisji powołanej do zbadania zasadności skargi stanął wice przewodniczący Rady pan E. R. Złożyłem z własnej woli pisemne oświadczenie. Przewodniczący komisji na posiedzeniu przed RM PRON uwołał mnie od stawianych przez Jacka K. zarzutów pieniactwa i prywaty podkreślając, że działam z mandatu większości lokatorów. Komisja przedstawiła swoje stanowisko w sprawie adaptacji strychu Urzędowi Miejskiemu w kwestii pomówienia mnie przez Jacka K. Zostałem usatysfakcjonowany i jeśli redaktor P. P. uważa, że mógłbym być zainteresowany jej ukryciem, to wyraźnie zawodzi go logika myślenia. Kim jest R. A.? Wszystko się zgadza (?) nawet inicjały, tyle, że wspan R. A. i A. R. Zatem czarny charakter Ryszard A. to ja, lecz red. P. P. nie rozmawiał również ze mną gdyż wiedziałbym coś o tym. Autor opisując barwnie relację inwestora o ludzkiej głupocie i zawiści nie

sprawdził czy jest rzetelna. Sądząc, że red. P. P. uczciwie zapracował na tytuł rzeczniczą prasowego Jacka K. I w tym miejscu pytanie o poziom etyki za wodowej red. P. P. staje się retoryczne. Autor pisze, że inwestor „na strychu wymienił, jedynie zamek w drzwiach”. Chyba jednak więcej, inwestor zdołał bowiem wyciąć część belek stropowych niezgodnie z projektem, ale napisanie o tym zepsuło autorowi koncepcję pu blikacji. Zarzut dotyczący rzeko mych inwestycji nie może traktować po ważnie, nie uczynił tego sam „obrażony” a ja do tej pory nie stanąłem przed kolegium w roli oskarżonego. Autor opisując sposób wyrażenia zgody przez lokatorów nie wie, że większość z nich wycofała ją po upływie dwóch dni kiedy okazało się, że poprzedni inwestor M. G. zataił faktyczny rozmiar inwestycji. Jacek K. po odkupieniu projektu od M. G. nie uczynił wiele aby rozwiązać wątpliwość lokatorów choćby w kwestii suszarni. Sposób prowadzenia tej sprawy zwłaszcza przez WUA-INBUM godny jest pióra Sławomira Mro zka. Architekt Miejski 5-krotnie wstrzymał prace budowlane, parokrotnie też zmieniał swoje decyzje. Czy red. P. P. naprawdę myśli, że to ja, lub lokato rzy wstrzymywali budowę, bądź stosowali magię, aby do tego skłonić urzęd ników? Tajemnica tkwi w kodeksie po stępowania administracyjnego. NSA ist otnie potwierdził prawomocność wy dania decyzji o pozwoleniu na budowę. Inwestor jak opisuje red. P. P. podob no nie wie, dlaczego nie może konty nuować budowy. Zapewne zapomniał o decyzji Architekta Miejskiego wstrzy mującej mu prace budowlane „ze względu na możliwość spowodowania niebezpieczeństwa dla ludzi i mienia”. Ciekawe czy red. P. P. jest teraz zdumiony? W związku ze stwierdzeniem samowoli budowlanej zaszła konieczność uzyskania urzędowej ekspertyzy. Oddajmy głos eksperci — oto wyjątek z opinii mgr inż. J. B. „Ogólny stan konstrukcyjny budynku bardzo do bry...”. „Roboty budowlane wykona no poprawnie...” i tu uważa, że Archi tekt Miejski jest innego zdania. A te raz wyjątki z protokołu oględzin prze prowadzonych przez pracowników PGKIM i WUA-INB na wniosek jedno go z lokatorów (nie mój redaktor) pana R. S. „Na stropie stwierdzono siatkę włóknowatych zarysowań ty nku...”. „Zarysowania te stwierdzono we wszystkich pomieszczeniach pod ad aptowanym strychem...”. Pieniactwo to mocne słowo ale autor nie zechciał wy słuchać też argumentów jednej z loka torek, która boi się przebywać w swo im mieszkaniu usytuowanym tuż pod miejscem budowy. To u niej wypaczy li się drzwi, inwestor zalał jej mieszka nie dwa razy a trzem innym zaledwie raz. Osąd rzetelności zawodowej autora pozostawiam na razie czytelnikom, przykro mi jednak, że psuje taką ład ną publikację.

A.R. czyli Ryszard A.

Nazwisko i adres znane redakcji

Pokonywanie siebie

Często znajomi namawiają mnie, abym „bez sztampy” kontynuował pisanie o ludziach ze świebodzińskiego podwórka. Bardzo nie lubię pisać spektakularnie. Musi mnie coś poruszyć, dotknąć, nawet obrazić, wówczas rodzi się pisa nie. Kadzenie okazjonalne często jest żenującym kabaretem. Rewiry przemieniania, niedoceniania, niepokazywania — znowa milczenia jest zawsze straszna. Niweczy zapał do pra cy, zaangażowanie ludzi nieszlachet nych, niepokornych, widzących i czu jących mocniej, silniej, więcej. Stąd

często wypływa zanikanie twórczego współzycia. „Gdzie ci artyści szaleńcy...” Formaty bardzo różne, w zależności co i jak udało się zdobyć, załatwić. Codzienny dyktant twórczego artysty. Kto zna malarstwo z lat siedemdziesiątych Jerzego Daszkiewicza ten za pewno będzie zaskoczony nowym myśleniem i tworzeniem plastycznym. Parę kroków w szaleństwo, bo jest to ma lowanie samoocealające poprzez samore lizację. Zbieranie barw w przemyśle niach, doznaniach, szklance herbaty, kieliszku dobrego wina. Szklisko oka, blik światła utrwalaony, zrzuty noża po szkło — poezja. Wychodzenie z realiz mu i jego pochodnych na rzecz subiek tywnego widzenia. Z jednotonalności barw, w fakturze, konstrukcji plastycz nej jest emanujący ciepłem, uspokaje niem. Dajemy odczuć, że artysta za czyna wchodzić na autentycznie swoją ścieżkę tworzenia. Indywidualnie prze myślaną, zgłębnioną, poznana. Przychodzi to z biegiem mijającego czasu. Doś wiadczenie przychodzi w miarę jedze nia.

Gra harfy dojrzewającej trawy. Na obrazach zawarte wszelkie mo żliwe konfiguracje rozbitych sztyb. A jak one w swej konstrukcji żyją, intrygują. Ostrza złomu szklanego zachodzą, spie trzają się, uzupełniają, zrzutają. To już psychika artysty wypływa — tematem, kolorem. Koloryt pastelowy. Malarstwo intelektualne. Gdy się zasiądzie wśród tych obrazów, mimo woli patrzeć, to budzą się myśli wspomnień, pogodno go wyciszenia, emanującego ciepła. Fa la pogody rośnie. Geometria. Niebawem Jerzy będzie absolutem toruńskie go Uniwersytetu — wydziału plasty cznego. O kolejnego artystę wzbogaci się gród Świebodzi.

Coraz większymi sukcesami na niwie fotografii zaznacza swoją obecność Piotr Węclawski. Członek Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Samotne drzewo w aureoli światła. Mury w ciemnościach, uchylona brama i przesmyk ostra światła — lagowska brama. Pasący się koń na miejskim skwerze. Zdziwiona krowa na pastwisku patrząca na zaparkowany samochód. Miejska architektura, detal budowlany. Na nowo odkryty zaułek miasta. I cie kawe fotoreportaż — gesty, ruch, twa rze, twarze, twarze. Zatrzymane w kadrze.

Jest to obraz subiektywny, wybór czy, ale bardzo wazki. Jak dla mnie.

Kultura i sztuka są lakmusem życia. Obrazują stosunki międzyludzkie. Po zwała na wychodzenie z kraju milcze nia. Pobudza, inspiruje innych natchnio nych. Powoli ożywa środowisko litera ckie. Jednak zawsze muszą być ci pier wi inspiratorzy. I tak jak onegdaj tak i dziś świebodzińskim literatom patro nuje prozaik — poeta Gustaw A. Łap szewski.

Każda sztuka jest wielka, gdy tworzona jest z potrzeby serca. Nadal tworzą twórcy, którzy współ działali, eksponowali w Klubie Pracy Twórczej „Formaty”: Aniela Nowak, Wanda Filinowicz, Greta Celna, Wiesława Mułczyńska, Lech Chmielewski, Ta deusz Bardela, Bronisław Białkowski, Bo gusław Dziewa, Piotr Tatarynowicz, Andrzej Tatarynowicz.

Zaczyna rozwijać się środowisko twórcze nauczycieli, któremu patronuje z ramienia Związku Nauczycielstwa Pol skiego w Świebodzinie Jakub Jarecki. Działa nadal, prężny klub muzyki jaz zowej „Scat” prowadzony przez Piotra Malinowskiego.

Mnie przypało z potrzeby sięć i na pisać o tych działaniach. Chciałoby dla upamiętnienia.

Ludzie przychodzą, odchodzą. Szyb ko pamięć porasta niepamięcią. Papier ma to do siebie, że przeżywa pokole nia. I ja bym chciał tych ludzi ocalić od zapomnienia.

LESZEK FREY WITKOWSKI

STRZELCE KRAJ. Rozpoczęły się ob chody 700-lecia Strzelce Krajeńskich. Pierwsza wzmianka źródłowa o Strzelcach pochodzi z roku 1272, jako miasto Strzelce wymieniane są w roku 1286. W 1290 r. do Strzelce sprowadzony został zakon augustianów. Rozwój miasta opierał się zawsze na rolnictwie, han dlu i rzemiośle. Podczas ostatniej woj ny ucierpiało szczególnie centrum Strzelce, zniszczone w około 90 procen tach. Z okazji jubileuszu i 41 rocznicy wyzwolenia miasta odbyło się wiele imprez kulturalnych i sportowych, m. in. ogłoszono konkurs wiedzy o mieście, przygotowano wystawę fotograficz ną „Strzelce wczoraj i dziś”. Gospoda rze miasta mają zamiar zorganizować sesję popularno-naukową, spotkania z pionierami, konkurs „Kobieta w foto grafii”, „Jarmark strzelecki”. Z tej okazji ukazało się kilka pamiątek regional nych.

DĘBNO LUB. Być może w niedalekiej przyszłości powstanie jeszcze jedno mu zeum regionalne w Gorzowskim. Dę bowski Ośrodek Kultury zbiera doku menty i pamiątki, które z okazji 41 rocz nicy wyzwolenia miasta pokazano społeczeństwu. Po kilku latach marazmu kul turalnego ostatnio Dębno się uaktywnio, odbył się m.in. IV Sejmik Towarzystwa Miłośników Dębna. W ubiegłym roku na zlecenie Towarzystwa Zespół Filmowy „Przymat” nakręcił film średniometrażowy pt. „Dębno w 40-lecie”. Podczas Sej miku debatowano nad tym, jak uaktywnić zakłady pracy, społeczeństwo miasta, by Dębno znaczyło w kulturze tyle, ile w latach swojej świetnej przeszłości. Po stanowiąc kontynuować dni regionalne, dawniej zwane „Owocobraniami”, groma dzić kroniki zakładowe, utrzymywać wymianę kulturalną ze Strausbergiem w NRD. Prezesem Zarządu TMD został wybrany ponownie Bolesław Prengiel.

GORZÓW. Z okazji 41 rocznicy powrotu Gorzowa do Macierzy zorganizowano wiele imprez kulturalnych, sportowych i spotkań z działaczami społecznymi. Go rzów w Polsce Ludowej z prowincjonalnego miasta przekształcił się w prężny ośrodek gospodarczy, kulturalny, posiada własną kadre naukową, wiele znaczą cych polskich sporów. Dziś w Gorzowskim mieście i pracuje około 40 artystów pla styków, 5 członków Związku Literatów Polskich, liczne grono dziennikarzy, akto rów, muzyków, architektów. Miasto posiada wszystkie podstawowe instytucje i organizacje kulturalne oraz naukowe. Widoczny jest udział gorzowskich zakładów pracy w upowszechnianiu kultury i sztuki.

* Tradycyjnie w rocznicę wyzwolenia Gorzowa redakcja „Ziemi Gorzowskiej” wręcza swoją nagrodę laureatowi plebiscytu „Znany — nieznan”. Bonatem roku 1985 został gorzowianin Piotr Łazowski, który prawie całe swoje życie związał z „jedynym zakładem pracy, „Gomadem”. P. Łazowski należy do tych gorzowian, którzy nie odróżniają swojego od naszego, wszystko, co wokół niego, traktuje jako dobro społeczne, o które należy się troszczyć. Laureat otrzymał dyplom redakcji „ZG” i czytelników oraz pamiątkową statuetkę. W uroczystości wręczenia wyróż nienia brał udział mieszkaniec miasta, dziennikarz, gospodarze Gorzowa i woje wództwa gorzowskiego z I sekretarzem KW PZPR Wiktorem Kinekim.

MIEDZYZRZECZ. 41 rocznica wyzwolenia miasta była okazją do zorganizowania okolicznościowych uroczystości. W Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy otwarto wystawę książek związanych z Międzyrzeczem. Również Muzeum Regionalne, pomnik 1000-lecia, przygotowało okolicznościową ekspozycję. Przy okazji informu jemy, że po 40 latach nieprzerwanej pracy przeszedł na emeryturę zasłużony dla kultury polskiej artysta plastyk Alons Kowalski, który jako jeden z pierwszych Lubuszan przystąpił do gromadzenia pamiątek polskości Ziemi Lubuskiej. A. Ko walski stworzył niepowtarzalne w Polsce Muzeum Regionalne, gromadzące m.in. portrety trumienne, pokazywane w kraju i za granicą. Nowym kierownikiem muzeum międzyrzeckiego został dr Stanisław Kowalski, do niedawna Wojewódzki Konserwator Zabytków w Zielonej Górze.

ZIELONA GÓRA. W połowie lutego odbywały się miejskie uroczystości z okazji 41 rocznicy wyzwolenia Zielonej Góry. W Muzeum Ziemi Lubuskiej zorganizowa no wystawę fotograficzną art. iot. Czesława Luniewicza — Zielona Góra dawna i współczesna. Podczas uroczystej akademii najbardziej zasłużeńi mieszkańcy stolicy środkowego Nadodrza otrzymali odznaczenia i dyplomy. Z tej okazji w pla cówkach kultury zorganizowano wiele interesujących imprez.

* 80 rocznicę urodzin obchodziła aktorka, działaczka społeczna na rzecz niewido mych — Halina Lubicz. I sekretarz KW PZPR Zbigniew Niemieński wystosował do Jubilatki list gratulacyjny. W ratuszu gospodarze miasta spotkali się z Jubi latką, składając jej serdeczne życzenia. W gmachu Biblioteki im. C. Norwida czynna jest wystawa fotograficzna art. iot. Cz. Luniewicza — Halina Lubicz i dr Michał Kaziów.

* Podsumowano Dni Zielonej Góry — Winobranie 85. Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego wiceprezydent Kazimierz Jakubowski stwierdził, że ubiegłoro czne święto miasta odbyło się zgodnie z oczekiwaniami, podkreślił wysiłek nadio wców i służb porządkowych. Winobranie 85 kosztowało 7.316.878,50 zł, część kosztów pokryto z budżetu miasta, resztę stanowiły opłaty za udział w imprezach i dotacje zakładów pracy. Tegoroczne Winobranie odbędzie się w dniach 7-14 wrze śnia, będzie podobne do ubiegłorocznego, z tym, że Komitet Organizacyjny przy gotowuje więcej imprez dla dzieci i młodzieży. Winobranie będzie się zbiegało z Międzynarodowym Festiwalem Zespołów Piosenki i Tańca. Do udziału w festiwalu zaproszono zespoły z USA, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoch, Szwaj carii, Węgier, Bułgarii, Jugosławii, Turcji, Indii, Polski. Imprezy będzie towarzy szył Zjazd CIOFF, międzynarodowej organizacji gospodarzy festiwali folklorysty cznych.

FOTOGRAFIA. 25 autorów prezentuje ponad 150 fotografii na Dorocznej Wy stawie Fotograficznej Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Pierwszą na grodę jury przyznał Marianowi Łazarskiemu za zestaw zdjęć, drugą — Leno wemu Dominikowi, też za zestaw, trzecią — Mirosławowi Granosowi za pracę „Archi tektura”. Nagrodę im. Zbigniewa Łąckiego otrzymała Janina Trojan, nagrodę im. Konstantego Ludwikowskiego — Marian Łazarski, nagrodę za reportaż — Zbi gniw Sejwa. W Dorocznej Wystawie Fotograficznej Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego wzięło udział 18 fotografików, którzy w Klubie MPiK zaprezen towali 103 prac czarno-białych. Jury przyznało nagrody: I — Ryszardowi Popraw skiemu za pracę „Andrzej”, II — Zbigniewowi Rajche za pracę „Stońce”, „Zima”, Radosławowi Kłoskiemu za pracę „Łagów”, „Morelowa nocą”, III — Jarosła wowi Buszowi za pracę „Awers i rewers” oraz wyróżnienia — Pawłowi Jancza rukowi i Bronisławowi Bugłowi. Dyplomy otrzymali — Piotr Węclawski i Edmund Cieszek.

ZAPROSILI NAS: Koło Zainteresowań Kulturą Łużycką Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Poznaniu na prezentację nagrań muzyki łużyckiej; Miejska Ra da Narodowa i Rada Miejska PRON na uroczysty koncert z okazji 41 rocznicy wyzwolenia Zielonej Góry; Wydział Kultury i Sztuki oraz Zielonogórski Ośrodek Kultury na koncert Chóru Akademickiego WSP; Lubuskie Towarzystwo Fo tograficzne na otwarcie wystawy fotograficznej; Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry na otwarcie wystawy „Michał Kaziów, Halina Lubicz — życie i twórczość”; Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze na otwarcie wystawy „Strój i tkanina w tradycji obrzędowości rodzinnej i dorocznej mieszkańców województwa zie lonogórskiego”; Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie na otwarcie wystawy malarstwa Małgorzaty Wolszczan-Kuźniarowej z Zielonej Góry. Dzię kujemy.

nadodrze

DWUTYCDNIE, SPOŁECZNO-KULTURALNY ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY
ADRES REDAKCJI: 55-061 Zielona Góra p. Bonatérów Stalingradu 13 i p. oraz ad res dla korespondencji: 55-958 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 46. Telefon redaktora naczelny: sekretariat: 708-35 sekretarz redakcji: 39-13 oraz centrala 46-61 do 5 nocy telefony wewnętrzne Telex 043-2253
REDAKCYJA ZESPÓŁ: Halina Aniska-Ska jak Lucyna Grabowska, Leszek Hermano wicz (red. graf. tech.) Michał Horowicz Ja nusz Koniw (red. naczelny) Zenon Łuka szewicz (sece. red. nacz.) Wiesław Nodzyn wci (sekretarz red.) Piotr Piotrowski (telex sta) Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, KO



REKTA Maria Fiedorowicz Elżbieta Nesterow sekretariat redakcji: Elżbieta Walen ska WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 55-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna 46-61 50-57 Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz, tel. 41-285

DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP 55-056 Zielona Góra ul. Reja 5 **OGLOSZENIA PRZYJMUJE:** Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 55-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 — oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie chwata. W przypadku wykorzystania nie za mawionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróćów i zmian tytułów.

Zam. 71 I-18

Konkurs poetycki

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Woje wodzkiego w Poznaniu, Zarząd Oddzia łu Związku Literatów Polskich w Po znaniu, Wydawnictwo Poznańskie ogłaszają ogólnopolski, otwarty

KONKURS LITERACKI

na tryptyk wierszy o tematyce obrony Pokoju. Celem konkursu jest pozyska nie wartościowych utworów literackich, związanych tematycznie z obroną Po koju, co stanowi, nawiązanie do idei Organizacji Narodów Zjednoczonych ogłoszenia roku 1986

„Międzynarodowym Rokiem Pokoju”

Jury, którego skład podany zostanie w terminie późniejszym, przyzna nag rody za tryptyk wierszy w następującej wysokości:
— jedna nagroda I. — po 30.000 zł
— dwie nagrody II. — po 20.000 zł
— trzy nagrody III. — po 15.000 zł
— pięć wyróżnień — po 5.000 zł

Sądowi Konkursowemu przysługuje prawo innego podziału nagród. Na kon kurs można nadsyłać wyłącznie prace dotychczas nie publikowane i nie na gradzane (w całości lub części), opa trzone godłem wraz z dołączoną, zam kniętą kopertą, również opatrzoną godłem i zawierającą następujące infor

macje: imię i nazwisko, dokładny adres autora.

Każdy uczestnik konkursu może zło żyć dowolną liczbę wierszy, z tym, że każdy pod innym godłem.

Prace konkursowe należy nadsyłać w maszynopisie w trzech egzemplarzach, na adres Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu (61-716 Poznań, Al. Stalingradzka 16/18) z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs Literacki”.

Termin nadsyłania prac na konkurs upływa z dniem 31 maja 1986 roku. Wy dawnictwo Poznańskie zastrzega sobie prawo pierwszeństwa opublikowania nagrodzonych prac w formie książko wej.

Sprostowanie

W poprzednim numerze „Nadodrza” opublikowaliśmy reportaż Jerzego Mi schke pt. „Czysta robota”. Z winy ko rekty znalazły się w nim następujące błędy: 1. na 1 str. zamiast zdania „Prze stał belfrować” winno być „Prze stał belfrować”. 2. Zamiast zdania „W ra diu „Muzyka nocna...” winno być „Mu zyka nocą”. 3. Ponadto w przerzucie tekstu z I na 4 stronę wypadło zdanie, które w wersji poprawnej winno brzmieć: „Pasuje jednak w tej aranża cji także piosenka Dudka, śpiewana w fałsetowej manierze ballada o Ziucie, i nie dziwi również...”

Autora i Czytelników przepraszamy za te błędy.

Konkurs na rysunek satyryczny „PRASA” — rozstrzygnięty

Na konkurs ogólnopolski rysunkowy „Prasa”, zorganizowany przez Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze i Instytucję kultury i upo wszechniania prasy, wpłynęło 773 pra ce 182 autorów. Jury w składzie: Ewa Barciszewska — przewodnicząca (War szawa), Bogumił Wtorkiewicz (Kielce), Jan Muszyński, Mirosław Hajnos i Al fred Siatecki (wszyscy z Zielonej Góry) do udziału w wystawie zakwalifikowa ło 138 rysunków 76 autorów. Jury nie przyznało Grand Prix, pozostałe nagro dy otrzymali: I — Henryk Cebula (40 tys. zł), II — Krzysztof Konopelski (30 tys. zł), III — Andrzej Pijet (25 tys. zł),

wyróżnienia po 10 tys. zł każde — Ire neusz Parzysek, Andrzej Misztka i Piotr Kutryba. Jury przyznało nagrody i wy różnienia specjalne, które otrzymał: Marek Michalski (fundator Wydziału Kul tury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Zie lonej Górze), Julian Bohdanowicz (fun dator Zielonogórskiego Wydawnictwa Pra sowe), Eryk Lipiński (fundator redak cji „Nadodrza”), Janusz Wołoszyn (fun dator Muzeum Ziemi Lubuskiej), Le szek Hermanowicz (fundator redakcji „Gazety Lubuskiej”), Włodzimierz Ro skowski (fundator Biuro Wystaw Artys tycznych), Antoni Chodorowski (funda tor Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Zielonej Górze), Zbi gniw Ziomecki (fundator Lubuskie To warzystwo Kultury) i Marek Sutek (fun dator Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zie lonej Górze). Wystawa pokonkursowa odbędzie się w maju br. w Klubie MPiK w Zielonej Górze. Z tej okazji zostanie wydany katalog.

Parszywienie miasta

W krajobrazie rustykalnym zdarzają się wrzody ropiejące, jednak ogólnie, wieś się cywilizuje, obrasta w szklarnie, hydranty, ciągniki, samochody osobowe, pralki automatyczne, kolorowe telewizory, wille ze snu nowobogackiego-betonowe, oklejone potłuczonymi lustrami. W krzakach, do których wiodą betonowe dywany, czyhały importowane krasnoludki. Kosmetyki Max Factora, m-me Rubinstein, serwisy z porcelany, najłatwiej kupuje się w małych wiejskich sklepikach, porządnie pieczone zjeść można w knajpie geesu. Wieś polska-rzeszowska, podhalańska, kujawska, leszczyńska nie zapominać, urbanizuje się. Mimo braku eternitu, dachówek, papy, żegnamy ostatnie kryte sioł chaty. Ocalało ich nieco podobno w Kieleckiem. Maskują one zapasy amunicji, karabiny maszynowe, działa przeciwpancerne, melinowane na okoliczność organizacji partyzantki w ewentualnej trzeciej wojnie światowej.

Hasło — wieś chce żyć jak miasto, wyboicie, z drgawkami, jednak sztuka do drzwi rzeczywistości. Utrzymanie wiejskiego folkloru, staje się domeną miast. Nie tylko zespoły ludowe zrywają przy fabrykach. I nie wieśniacki śpiewają dziś — podskoczyła do pułapu a jej cycki chlapiu chlapiu! Spiewają to robotnice. Ponieważ za realizację piosenki „Kawiarenki... kawiarenki”, „Jele!” odnowionym związkom zawodowym nie chce się bulić. Zaś śpiewanie bezinteresowne jest nieprzyzwoitością. To nie wypada.

Czy istnieje hasło — miasto chce żyć jak wieś? W sensie pazerności na dobra materialne, odpowiedź wydaje się być oczywista. Jeśli nawet pominąć taką

prawdę jak ta: bez pracy nie ma koła czy. Miasto oyda za wsią, ale taką, której już nie ma, albo jest, na kartach historii. Jest to oyrdanie smutne, bo karykaturalne. Na wytwornym banie w ekskluzywnym lokalu, równie łatwo oberwać po pysku, jak na strażackiej potanówce w remizie. Technologia produkcji alkoholu do perfekcji doprowadzona przez chłopów z Podlasia, znajduje marnych naśladowców w osobach, magistrów niekoniecznie chemii, mieszkanców wiezowców w miastach stutycznych, takich jak choćby Zielona Góra. Urzędnicy niższych szczebli w pędzie naśladowania dziedziców zachowują się jak karbowi. Inteligenci w pierwszym pokoleniu, po trzech latach prowadzenia butiku, szukają antenatów z arystokratycznymi parantelami. Keinerzy zachowują się jak paniska, paniska jak keinerzy.

Smieszne to, groteskowe. Jak to często bywa, za maską groteski, kryje się groza. Wieś, która długo na to czekała, nareszcie cywilizuje się, mimo kryzysu. A może właśnie dlatego, że kryzys jest. Natomiast z procesu parszywienia miast — cieszyć się nie można. Proces parszywienia, tak jak awans wsi — widoczny jest na pierwszy rzut oka. Od Warszawy do Wrocławia. Symptomy choroby miast to przede wszystkim inwazja brudu, choć proszki, mydło, ciepła woda, są w programie rządowym.

Niegdyś zabrane miasto Nowa Sól, staje się siussem. Ponoć kawiarnię „Kopciuszka” — niegdyś renomowaną, zamienia się w jadłodajnię. „Mokke” przekształca się w piwiarnię, tak jakby w Nowej Soli były kłopoty z wypięciem piwa. W Nowej Soli, która kie-

dyś tętniła handlem — po zakupy jeździło się z Zielonej Góry — sprzedawcy walczyli na klientów, nie mają czasu zaparkować, na miarę obecnych możliwości zaopatrzeniowych, wystaw sklepowych, i tak samo jak w stolicy regionu, nie ma kto wymyć szyb. Żary, jeśli proces nie zostanie zahamowany, za lat dziesięć, piętnaście, staną się jedną wielką ruiną. Zagani, który w żadnym okresie cyklicznych błędów, nie miał szczęścia do architektów, staje się miastem ze złego snu. Tej dengregoiady nie można objaśnić słowkiem wytrychem — kryzys. Bo co ma kryzys wspólnego z brudnymi szymbami publicznych placówek usługowych? Oto w Zielonej Górze, w samym centrum, sercu miasta, na placu wokół ratusza stoi kilkadziesiąt latarni współtworzących klimat wizualny miasta. Co najmniej dziesięć latarni, jedna czwarta wszystkich (gdzie dziś znaleźć takie same kiośki, żarówki-świeczki?) brzydzi różnymi stuczeniami. Bo krasnoludki się nudzą. Nie było pod ręką młyn, którym można obrywać nożki i skrzydełka. Na tomiast były latarnie.

Mieszkam w wiezowcu, który ma lat dziesięć. Też w centrum. Otóż, wiezowiec, to cała wieś — jeśli idzie o licząc enalup i mieszkanców. Moje mieszkaniowisko od początku mimo różnych ustoiwan zmienił na lepsze, zawsze przypominało siusm. Ostatnie wiatry spowodowały odpacnienie dużego piata zewnętrznego tyłku. Przyzwyczajanie się do tego lizają będzie symptomem adaptacji do sytuacji. Mamy kryzys. Nieprawdaż?

RYSZARD ROWIŃSKI

Postawy

Telefon z Zagania. Dzwoni zaprzyjaźniony mieszkanie tego miasta: — Przyjeżdż, może ty coś poradzisz?

W Zaganiu próbuje potwierdzić telefonicznie swój przyjazd. Rezygnuje z tego zamiaru przy czwartym automacie. Kłnę na mroź, debili którzy wyrzywają słuchawki i brak operatywności ze strony ludzi odpowiedzialnych za konserwację automatów.

Docieram pod adres wskazany mi przez znajomego. Drzwi otwiera starszy mężczyzna. Wie, że miałem przyjechać, ale żona — bo o nią chodzi — jest chwilowo nieobecna. Zanim przyjdzie, Józef K. stara się zrelacjonować sprawę, z którą nie mogą poradzić sobie od roku, która zakłóciła ich spokój i zepsuła sporo zdrowia.

Irena K., po czterech latach pracy w zagajskim przedszkolu, w którym była pomocą kuchenną, poważnie zapadła na zdrowie. Był to wynik ustawicznego kontaktu z preparatami chemicznymi, jakimi są środki czystości, i rzadko spotykanych skłonności alergicznych. Choroba była już mocno zaawansowana — występowały ataki duszności, pieczenie i swędzenie ciała — gdy Irena K. zdecydowała się wystą-

Konsylia niekompetentnych

pię z wnioskiem o rentę. Lekarze ZOZ i odpowiednia komisja lekarska nie mieli żadnych wątpliwości — choroba „z powodu kontaktu zawodowego”, przysądziła rentę III grupy.

— Dlaczego tylko III grupa? Przecież nie nabyłaś tej choroby pod pieczęcią. — Podważał „osiągnięcie” żony Józef K.

Irena K. odwołała się do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Sulechowie. W lipcu 1984 roku sąd przyznał jej rentę drugiej grupy. Sprawa trwała pół roku. Kontrola z Ministerstwa Pracy Placy i Spraw Socjalnych podważyła zasadność decyzji sądu w Sulechowie. W marcu 1985 roku wstrzymano wypłacenie renty. Od tego czasu do końca stycznia 1986 roku Irena K. nie otrzymywała żadnych środków na utrzymanie. Rozpoczęła się cierniowa droga po biurokratycznych ścieżkach. Pani Irena wędrowała od okienka do okienka, od komisji do komisji. Jeździła na badania do Zielonej Góry, Gorzowa i Poznania. Pierwsza wizyta w Gorzowie zakończyła się całkowitym flakiem lekarza, który miał przewodniczyć komisji, wyjechał na kurs. Druga wizyta też nieoczeki-

wniosła: Lekarze z Gorzowa przesłali do Zielonej Góry formularz bez orzeczenia. Kilkunastodniowe badania w klinice poznańskiej potwierdziły pierwotną diagnozę, do tego wykryto poważną chorobę serca. Po takim orzeczeniu renomowanej kliniki zapadło kilku miesięczne milczenie ze strony odpowiedzialnych urzędów.

— Żyjemy za pożyczkę — mówi Józef K. — o moja emerytura starczy zaledwie na utrzymanie jednej osoby...

W trakcie naszej rozmowy zjawia się Irena K. Jest coś nowego, w sprawie: pani Irena rozpiszętuje dokument otrzymany od listonosza. Tak, jest to przywrócenie praw do renty III grupy, z wyrównaniem zaległości. Prześladam urzędowe pismo. Nie wiem, czego szukam. Rubryki wypełnione prawidłowo, wyraźnym charakterem pisma. Nie ma rubryki na słowo „przepraszam”.

Pani Irena nie ma zamiaru wnosić do sądu sprawy o zwrot wszystkich poniesionych kosztów związanych z podróżami po urzędach i szpitalach. I tak była w tym szczęśliwym położeniu, że mogła chodzić, jeździć, i że nie jest osobą samotną.

PIOTR PIOTROWSKI

Okoliczności

Jestem przygnębiony. Nie spodziewałem się, że moje skromne felietony mogą spowodować, iż stanę wobec zagrożenia życia w ostracyzmie, na razie dobre, bo tylko — towarzyskim. Całkiem nie posiłkiem w zatrucie. Kurczowo trzymam się jeszcze ostatniej deski ratunku, pokładam nadzieję w fakcie, iż świat jest jednak większy, niż zakres spraw niektórych jednostek subtelnych, wyjątkowo ambitnych i w tym, że struktura społeczna zawiera w sobie duże bogactwo charakterów, poglądów.

Być może za wiele sobie pozwalam. Tak wychodzi czasem, gdy człowiek świat chce poprawić zbyt gwałtownie. Nie można do siebie zrażać naraz kilku grup zawodowych, a właściwie ich reprezentacji. Wobec takiego obrotu rzeczy muszę spróbować zaproponować pewne zasady gry, czy zinterpretować swoje refleksje publicystyczne.

Jeśli nawet mimochodem tylko wspomni się krytycznie o lekarzach, to już jest niedobre. Z jakiego powodu? Czy jest aż tak źle, żeby zaraz w ten sposób pisać? A w jakich warunkach służba zdrowia niejednokrotnie pracuje? Czy do istniejących braków kadrowych, niedostatku łóżek szpitalnych jeszcze trzeba dodawać takie opinie? A przecież — urażeni powiadają — człowiek tyle się stara, wiele razy ledwie stoi na nogach, czy ktoś powie, że leci się na lewizny? Dajemy z siebie maksimum, o wynagrodzeniach nie wspominając.

Nie wiem, jak w takiej sytuacji reagować. Dlaczego? Bo dotknięci w swej godności osobistej i zawodowej czują się ci, faktycznie uczciwi, ofiarni, są ludźmi po prostu, nikt od nich nie żąda, by kreowali się na świętych. Wiedzą oni, iż ich medyczny świat nie jest ułony idealnie. Boją ich jednak dwuznaczne opinie. Dają temu wyraz. Właśnie dlatego, że są ambitni. Dlatego nie protestują ci, którzy powinni?

Podobnie z nauczycielami. Czemu nie znaleźć sobie jakiegoś innego obiektu krytyki? Ze akurat tę dziedzinę dość dobrze znam? Jeśli do tego, co w telewizji, prasie, na ulicy, dokładam jeszcze nieciekawie oceny kadry pedagogicznej, to siły opadają. Jakich efektów działalności szkoły się spodziewać? A oświata, jak poniekąd twierdzą, potrzebuje nade wszystko spokoju. Spokoju potrzebuje też dyktando? Nie tylko w sferze edukacji zresztą? I ciekawie znowu: z pretensjami zgłaszają się pedagogicy z prawdziwego zdarzenia. Faktyczni adresaci niezbyt przyjemnych spostrzeżeń siedzą cicho.

No i urzędnicy. Iż obiekty. Trudno liczyć z nich pojąć, jak może rozdrapać chore miejsca w maszynie administracyjnej, jeśli powinienem się czuć z nią związany, przecież mój chleb prawie z tej samej spłazni.

Prawidłowość się powtarza. Pretensje zgłaszają ludzie zza biurka, ambitni, pracujący odważnie, nie tylko w go-

dzinach etatowych, oceniani pozytywnie. Mówią, że podrywam autorytet administracji, która i bez moich trzech groszy jest dość szarpana.

Spróbujmy się zrozumieć. Uważam, że jeśli sygnalizuję anomalie w pracy lekarzy, nauczycieli, urzędników, to nie są to sądy przekreślające w konkretnym zawodzie wszystkich. Każdy z nas styka się z przedstawicielami wymienianych tu — i innych — profesji i wie, że nie wszyscy z nich (z nas) stanowią wzór do naśladowania. Czytelnik po lekturze tekstu krytycznego tym bardziej doceni dobrego lekarza, pedagoga, nauczyciela. Myślę, iż jest to też niezły sposób przywoływania na myśl ludzi szlachetnych, kompetentnych, z różnych zawodów.

Moglibym oczywiście, co rusz, używać sakramentalnego sformułowania „Ale przecież ogromna większość lekarzy, nauczycieli, urzędników itp. swoje obowiązki wypełnia bardzo dobrze...” Tylko — czy takie gadanie — by się na więcej — społecznie biorąc — przysiało? I tak wszyscy wiemy, że nie żyjemy wśród idealistów. Nie ma również żadnych powodów, aby chronić specjalnie tych, którzy nas w określonych profesjach, okolicznościach kompromitują. Warto też popatrzeć, jak rzeczy układają się w naszych zespołach pracowniczych. Czy naprawdę tylko cudownie?

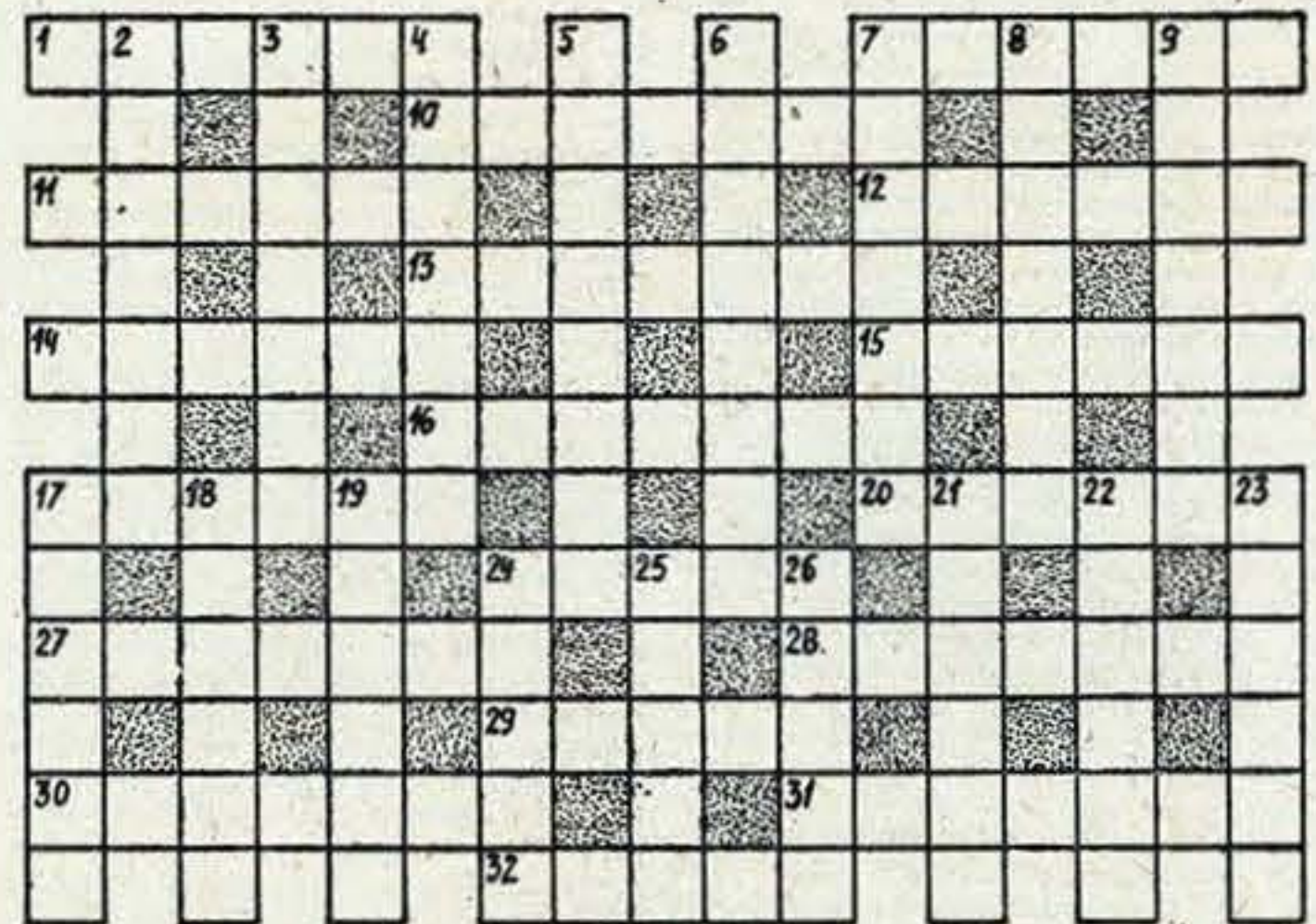
STANISŁAW ŚWINIARSKI



nadodrza

Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA — SŁOWO ZA SŁOWO
(Oprac.: „ŚLAWICZ”)

Poziomo: 1. Przysmak, 7. Żużel, 10. Łup, 11. Uchwył, 12. Medyk, 13. Konwersacja, 14. Przemowa, 15. Pałeczka, 16. Bobas, 17. Śnież, 20. Podymne, 24. Rogoza, 27. Las, 28. Szafa, 29. Kawał, 30. Welna, 31. Gorzałka, 32. Tworca.

Pionowo: 2. Pozycja, 3. Peta, 4. Zagadka, 5. Jubileusz, 6. Mizerak, 7. Zapora, 8. Podnajecka, 9. Marchew, 17. Podium, 18. Alkohol, 19. Bielizna, 21. Dwumetyloketon, 22. Gieba, 23. Fant, 24. Smar, 25. Łoskot, 26. Komik.

KALAMBUR ZIELONOGÓRSKI

(Oprac.: Stanisław Patycki)

Przedstawiamy na łamach „NADODRZA” nowy rodzaj zadania, które nie było jeszcze do tej pory publikowane na łamach prasy polskiej. Kalambur — popularny rodzaj zagadki ma już kilka odmian m.in. kołowy, karuzelowy i wiazany, czy wspakowy. Kalambur zielonogórski to nowa odmiana, gdzie jedną część odgadawanego wyrazu należy czytać wspak. Którą? Proszę odgadnąć.

PRZYKŁADY: RAK + TON = KARTON. KRAK + AS = KRAKSA.

Zadanie to daje nowe możliwości igraszek słownych. Kalambur zielonogórski może też być kołowy, karuzelowy i wiazany.

Życzymy czytelnikom wiele satysfakcji przy rozwiązywaniu nowego typu zadania.

KALAMBUR ZIELONOGÓRSKI

Czarodziej, płas — podkręca was.



UZUPEŁNIANKA KRZYŻÓWKOWA
(Oprac.: „ZEM”)

Wykorzystując wyrazy ARAKS i NATOLIN, wpisane w diagram, oraz liczby znajdujące się w polach krzyżówki, należy uzupełnić pozostałe pola takimi literami, aby powstała zwykła krzyżówka, której wyrazy stanowią ostateczne rozwiązanie. Jedynym liczbom odpowiadają te same litery.

ROZWIĄZANIE ZADAN Z NR. 2

Krzyżówka mozaikowa

Poziomo: 1. bornit, Polak, largo, kolanka, winiec, Zan, stojan, ryk, Bana, olon, 14. Kar, gul, xzenia, Izara, kotwa, Uranos, Pionowo: balans, rok, Nil, tarnina, polon, 22. bek, Kastor, cykada, Jonasz, Marzi, Teagaru, bentos, Oliwa, ara, Kon.

Kalambur — „starość”

Arytmo — krzyżówka

Poziomo: rokada, Krak, atara, trasa, Batak, rabat, arab, Sabina, Uranos, NIK, talar, Zan, Totana, Abakan, bort, kabak, nagar, akara, Itaka, laba, platan. Pionowo: Raba, szakal, Otaru, abaka, katar, nabab, Arabat, kara, Dak, nataka, Solon, trasat, Nil, krab, rabata, rabin, Nogat, asani, araka, Kataka, tran.

Nagrody książkowe wylosowali: Leontyna Studzińska z Górzyna w woj. zielonogórskim (za rozwiązanie trzech zadań) oraz Tadeusz Bąbliński ze Strzelca Krajeńskich i Bolesław Szymański z Zielonej Góry. Gratulujemy. Nagrody wysyłamy pocztą.